◆ ILIA ERENBURG ◆ KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI ◆ IRENA PANNENKOWA ◆ JERZY K. WEINTRAUB ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 20 lutego 1949 r. | Nr 8 (221)

1849 - 1949 — Rok Chopinowski

Fryderyk Chopin umarł w Paryżu 17 października 1849 r.

K. I. GAŁCZYŃSKI

SZANSA NASZEJ POEZJI

Przez naszą poezję rozumiem poezję, która jest mieczem i pochodnią a nie taką, która zabawia się w podrażnienie gruczołów proletariatu i dzięki temu poezją ludu i dzięki temu — narodu, estetycznych i łaskotanie tak zwanego sumienia, jak to ma miejsce u komicznego pana T. S. Eliota i jego tragicznych uczniów. Tym razem nowy renesans w Europie postępuje nie od basenu śródziemnomorskiego, ale od nas, z naszej strony, ze wschodu. Nie bez bracchio militari stworzonych przesłanek.

I to jest właśnie szansa naszej poezji.

Bo poezja zawsze odrodzi się w tych okresach historii, kiedy przestając być ostrygą dla znudzonych, przemieniać się będzie w chleb dla kulturalnie głodnych i politycznie aktywnych. A politykę my, ludzie europejskiego wschodu i środka, rozumiemy „po wrocławsku": jako kształtowanie pokoju i sprawiedliwości.

Nasza poezja to nie jest „Panis angelorum", tylko „Panis operariorum", chleb robotniczy. Tak, chleb kultury robotniczej.

Bo chciałbym, żeby anglosascy i atlantyccy panowie zobaczyli nasze hale fabryczne w tych chwilach, gdy my, poeci demokracji ludowych, czytamy naszym robotnikom nasze wiersze. Żeby zobaczyli twarze tych robotników i ręce tych robotników, składające się do wdzięcznego oklasku.

Tak, nasza poezja jest polityczna, polityczna to znaczy zsynchronizowana z poruszaniem się mas ludowych, to znaczy jak syn marnotrawny powrócona swemu ludowemu źródłu.

I to jest szansa naszej poezji, naszych poetów, ojców nowego europejskiego renesansu.

Nasza klasowa poezja, zanurzająca się aż po dno zbiorowości wypływa na powierzchnię zjawisk ostra i serdecznie okrutna jak słońce, które kształtuje klimaty.

Jeden z cudów architektonicznych świata nazywa się katedrą Notre Dame.

Katedra, którą nasza poezja buduje, nazywa się Notre Terre. Wspólna jest droga poetów i polityków — mówi znakomity czeski myśliciel Ladislav Sztoll.

K. I. Gałczyński

1849 - 1949 — Rok Słowackiego

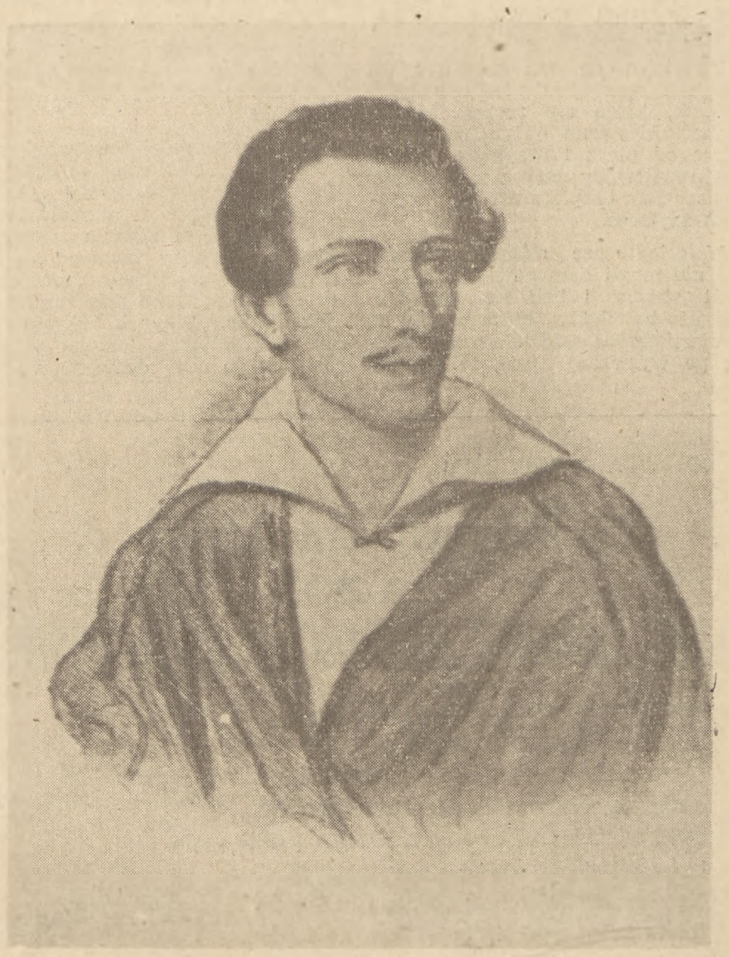

Juliusz Słowacki umarł w Paryżu 3 kwietnia 1849 r.

BOHDAN CZESZKO

MOJA NIENAWIŚĆ BIOLOGICZNA

CIAŁO moje wychudło bardzo i pokryło się bolakami Brzuch zapadł mi się w głąb, jak u konia karmionego owsem, a z obydwu stron brzucha sterczały nachalnie do przodu dwa gnaty. Karmili źle i coraz gorzej. Dawali ziemniaki w łupinach i rozprażoną marchew, a przecież nie tak dawno jeszcze można było od czasu do czasu otrzymać miskę „zarzutki" okraszonej kilkoma żółtymi oczkami margaryny, które to oczka odsuwało się łyżką, aby po wychłeptaniu kwaśnej, ale gorącej wody zjeść je wraz z kłębkami strużyn kiszonej kapusty. Jedliśmy na stojąco opierając miski o drewniane żerdzie przegród, które dzieliły dziedziniec fabryki na małe poletka. Tu kiedyś spędzano krowy z okręgu, aby ładować je na rampie kolejowej do pociągów idących przez miasto Z. gdzieś przez Katowice na Wrocław a może i dalej do głodnej Rzeszy.

Kartofle w łupinach nie były dobre do jedzenia. Otrzymywało się je wprawdzie gorące — miska parowała i grzała aż do bólu zmarznięte końce palców — ale zanim obrało się trzeciego kartofla ze śmierdzącej skóry i usunęło miejsca zgniłe, wszystko wystygało.

— Dlaczego, mesdames, nie łuskacie kartofli — spytałem bulwiastej dziewczyny, rozkraczonej nad kotłem.

— Uważaj, zaś bym ciebie nie wyłuskała — to powiedziała nader spokojnie po czym wrzasnęła — sollst aber Mundhalten du Warschauer — i znów cicho — znajdzie zapierunowany. Zapragnąłem powiedzieć jej prawdę w oczy: „jesteś szwabską prostytutką podobną do nagiej maciory na kaczych nogach". A jednak zmilczałem i mimo to nie dawała mi przez tydzień dolewki. Przyjechała tu dla prowadzenia kuchni razem z ekipą majstrów Organizacji Todta, którzy konsultowali niejako wykonywaną, przez robotników kilku firm budowlanych, pracę nad montażem bocznicy kolejowej.

Moje kostropate i wychudłe ciało przewiały na wylot wszystkie wiatry miotające sypki śnieg po płaskich i przygniatająco rozwlekłych polach otaczających wieś Sekuły przycupniętą wokół stacji i zabudowań fabryki cementu. Drewniaków obiecanych w kontrakcie (ubranie robocze, obuwie robocze) firma „Ahrne Zorek Baugeseltschaft" nie dała swym robotnikom Owijałem stopy papierowymi workami. Na domiar złego potulni do tej pory majstrowie, obercalmajstrowie i forarbajterzy O. T poczęli bić po mordzie, a także odbezpieczali pod nosem pistolety klnąc od „pieronów", od „ciulów". Bolało mnie to bardzo, że może mnie bić w mordę już nie SS-man lub gestapowiec, ale nawet łapserdak w zrudziałym szyneiu, wyleniałym jak dominikański habit, nawet tak jak i ja usmarkany na mroze folksdojcz ze Śląska. Pod koniec grudnia w niedzielę zrolowałem koc i pojechałem do Z. darowywując nie z lekkim sercem moją zaległą tygodniówkę Ahrne Zorekowi. nie mogłem bowiem przywyknąć ani do wrzasków, ani do mordobicia.

— W mieście — kombinowałem — nie będą bili. Tu w Sekułach nikt nie widzi, nie potrzebują udawać, bo na około są jeno ugory, zachlapane plamami śniegu, topole strzelające ku niebu niemym gestem czarnych gałęzi, a my w środku w bydlęcej zagrodzie.

— Wkrótce przyjdą Rosjanie. — Obiecywałem sobie satysfakcję. — Niemcy folksdojczów nie wyewakuują. Po co im to łajno, z punktu widzenia czystości rasy. Dobrze byłoby Ahrne Zorekowi wypisać na zadku jego szefostwo, a także obercalmajstrowi Galonsce wydmuchnąć ze łba wraz z jego szczątkowym mózgiem zamiłowanie do obracania pistoletem.

Przybyłem do Z. i udałem się od razu na ulicę Francesco Nullo. Tam sprawdziwszy adres ogłoszony w miejscowej gazecie dla „nie-niemców" odnalazłem siedzibę firmy „Johann Konnaveck Baugeseltschaft".

Firma obiecywała: kwaterę, wyżywienie, zarobek. W dużym i obskórnym budynku, poza bramą bardzo cuchnącą, poza podwórkiem pokrytym warstwą brudnego lodu, w oficynie na pierwszym piętrze mieściła się kwatera dla robotników firmy i jej biuro, to znaczy maszyna do pisania, trzy koło-teczki z napisem: „koresp. przych", „koresp. wych." i „rachunki" oraz liczydło. Zapukałem i wszedłem.

Na łóżku wstawionym do kantorku drzemała przykryta kożuchem pani. Chrząknąłem i wtedy ona ocknęła się, niechętnie odrzuciła kożuszek i zsunęła na podłogę nogi obute w walonki.

— Nie urzęduje się dzisiaj, niech przyjdzie jutro.

— Pani pozwoli, jestem warszawiakiem i pani rozumie...

— Przysypała mnie bomba. Niech mówi głośniej. O co chodzi..

— Nie mam gdzie spać, a słyszałem, że firma daje kwaterę... O — pokazałem gazetę.

— Zaraz. Zawołam męża-inżyniera.

Przyszedł mąż w króliczym kożuszku, zmierzwiony jak chochoł.

— Umie pan robić schody? Pan jest cieślą, a ja mam panie dziesięciu takich cieśli, co belki prosto nie potrafią przerżnąć. Krają jak kiełbasę, panie. Spać pan może, jest jedno wolne miejsce, to znaczy siennik. Panie Kowalczyk!

Kowalczyk wprowadził mnie do pomieszczenia pozostałego po magazynach jakiejś fabryczki. Lokal był wysoki, przewiewny, pomalowany wapnem zabarwionym ultramaryną. U pułapu, pomiędzy belkami biegnącymi w poprzek, dyndały pozwijane w supły, martwe, zakurzone pajęczyny. W kącie na kupie zleżałych papierowych sienników kilku ludzi grało „w oko". Aby mi się przyjrzeć podnieśli się — przyjęli postawę klęczącą przez co wnętrze upodobniło się jeszcze bardziej do nawy kościelnej. Sylwetki ludzi wobec ogromu lokalu wydawały się znikome. Chciało się huknąć głośno i posłuchać echa.

— Jeśli przypadkiem nie masz wszy, nie radziłbym ci spać na tym sienniku — Kowalczyk wskazał mi moje miejsce — Mówią, że wszy nie trzymają się w słomie i papierze, ale bogać tam... My wszyscy jesteśmy zrobaczywiali. Łaźnia nic nie pomaga, kiedy się nie ma gatek na zmianę. Tu sami warszawiacy jak i ty.

Żyliśmy w nędzy, która paliła jak tyfusowa gorączka.

Pierwszego dnia zasypiając żaliłem się sobie:

— Jestem jak liść lub kuchenny odpadek. Zniszczono oto mój dom wraz z orzechowym kredensem i biblioteką, zawierającą między innymi poezje Michała Anioła. Pijany zdrajca o twarzy kretyna-ojcobójcy zarżnął fińskim nożem moją matkę i mojego ojca. Towarzysze pozostawili mnie bez kontaktu. Czepiam się życia wykonywując, jedyne na jakie mnie stać, bezwładne gesty ukwiatu. Mam prawo do zemsty, bowiem los mój jest podobny do losu innych ludzi, nie mnie jednemu odebrano wszystko co ludzkie. Niechaj zatem plazma zawarta w komórkach mojego ciała zamieni się w pragnienie odwetu.

Na wolność, jak się później okazało, trzeba było czekać jeszcze dwa tygodnie.

W dniu, kiedy skończyłem schody i zmontowałem je w piwnicy węgierskiego lazaretu, nastąpiło oswobodzenie. Wyszedłem na podwórko. Nadeptywałem uważnie stopnie, badając je czy nie trzeszczą. Od rana pracowałem w czerwonym, migającym świetle słabej żarówki i blask śniegu uderzył mnie po oczach — panowała sucha pogoda zimowa.

Zaraz za progiem capnął mnie za klapy kurtki wysoki esesman, który miał obandażowaną głowę. Obok niego stał drugi, a twarz jego szczerniałą rozświetlał błysk białych zębów obnażonych w grymasie bólu. Kołysał się na obcasach, powolnym, kolistym ruchem. Piastował zmiażdżoną rękę.

— Ech du dreckige Schweinhund! — krzyczał nade mną Niemiec dzierżący mnie za klapy. — Arzt?, Arzt? Kommandant? — Głos jego był ochrypły i ostateczny.

Puścił mnie zniechęcony i z udręką spojrzał w niebo. Wysoko, mrucząc basowo, szły klucze samolotów ze wschodu na zachód. Pozostawiały one delikatne białe smużki na czystym i pełnym światła błękicie nieba. Od tej chwili począwszy przez resztę dnia i przez całą noc miasto dudniło jak tocząca się żelazna beczka.

Następnego dnia wieczorem wypełniłem mój plecak najlepszą żywnością, z tej którą wyszabrowaliśmy ze szpitalnej piwnicy, namaściłem smalcem zdobyczne saperki i nazajutrz pożegnałem się pobieżnie z kolegami, wylegującymi się jak krokodyle po całodziennym obżarstwie. Nie miałem już w Z. nic do roboty. Doczekałem swojego, a przecież tylko o to mi chodziło.

Wyszedłem za bramę, tupnąłem butami poprawiając onuce i ruszyłem dziarsko ku wschodowi ulicą Francesco Nullo. Przy ulicznej pompie, opakowanej słomą i oblodzonej ludzie stali w ogonku, złorzecząc sobie wzajemnie i poganiając pompujących. Filtry zawiesiły swą pracę z powodu braku władzy. Od pompy odeszła kobieta dźwigając nieudolnie pełne wody brezentowe wiadro. To była Weronika z konspiracji. Kiedy wywrzeszczałem, zdumiony, jej imię, postawiła wiadro i zapytała dokąd idę.

— Do Lublina. Mam dosyć. —

— Poczekaj. Zdążysz. Przyjdź dzisiaj o piątej na ulicę Hetmańską do willi Bruna. Tam zbiera się Komitet Miejski. Do Lublina... pomyślałeś ile to kilometrów? W warunkach frontowego rozgardiaszu. Ech ty świszczypało.

— Przyjdź na pewno — krzyknęła już z daleka i odwracając się, aby to krzyknąć, oblała palto wodą.

Ja wyobraziłem sobie wielkie przestrzenie białych zimowych pól Rozwijające się bez końca jak taśma miernicza we śnie drogi zadęte śniegiem. Wreszcie strach, nieufność i łakomstwo ludzi mieszkających przy drodze. Spojrzałem w dół na moje wysmarowane świeżo smalcem buty. — „Ukradną" — pomyślałem żałośnie. Pozostałem.

Miasto roiło się ludźmi wytrąconymi nagle z normalnego młyna zajęć. Z położonych w pobliżu miasta jenieckich obozów przybyli żołnierze wszystkich armii i handlowali zajadle Na rogu ulicy stał czołg, który spłonął w nocy i wtopił swoje gąsiennice na stałe w asfalt. Dziewczyna dyrygowała przy pomocy czerwonej i zielonej chorągiewki ruchem taborów i samochodów.

Była zatem wolność. Obwieszczano ją chrypliwym głosem z megafonów umieszczonych na dachu samochodu. Tłum otaczający samochód słuchał w milczeniu nie przejawiając entuzjazmu, ludzie obawiali się bowiem, że Niemcy powrócą i rozstrzelają tych wszystkich, którzy krzykną „niech żyje!" Dopiero kiedy z megafonów popłynęła melodia mazurka Dąbrowskiego wszyscy poznali, że wolność w rzeczy samej nadeszła i nawet handlarze dewocjonalii, robiący interesy pod bramami klasztoru Ojców Franciszkanow, odsłonili głowy i zapłakali.

Ja myślałem o tym, co też za pracę otrzymam teraz w tym wybebeszonym przez nagłe uderzenie mieście, które ma tylko jeden dworzec, jeden klasztor i cztery fabryki. w którym główną ulicą łączącą dworzec z klasztorem chadzają kozy.

— Nie masz spokoju i wytchnienia — myślałem sobie. — We wszystkich sloganach i ulotkach kolportowanych nielegalnie zobowiązywaliśmy się Oto nadszedł czas wypełnienia zaciągniętych długów wiary w prawdę. A także czas zemsty.

II

ZA wstawiennictwem Weroniki, która wielkim głosem wieściła moje byłe bohaterstwo zostałem komendantem oddziału Milicji Obywatelskiej, a tak samo dobrze, biorąc pod uwagę kompetencje mógłbym zostać prezesem w klasztorze lub kierownikiem dworca kolejowego.

Oddział mój stacjonował na granicy miasta w fabryce papieru „Centrocelui".

W wartowni straży fabrycznej zawalonej karabinami, amunicją i minami przeciwczołgowymi, na zesuniętych pod jedną ścianę stołach leżało kilku młodych ludzi. Śpiewali oni:

„Byłam z mamą raz w Przemyślu
Jakie to piękne miasteczko jest..."

Śpiewali nie nazbyt głośno, ponieważ obok, oparty czołem o balustradę spał człowiek z opaską na ramieniu.

— Hej, towarzyszu — potrząsnąłem nim. — Obudź się. Jestem waszym komendantem

— A?

— Jestem waszym komendantem. Stańcie na baczność i zameldujcie mi, co się tu dzieje.

— Co się ma dziać niby? — zapytał oprysklwie. — Poza tym nie wygłupiajcie się ze stawaniem na baczność. Przed 39 rokiem stawałem na baczność tak ostro, że mi iskry szły uszami, a wszakże wojnę mimo to przegraliśmy Nazywam się Korzeniowski, jestem tutejszym komendantem, a wy mi pokażcie nominację. Aaa...—ziewnął, klepnął się dłonią po ustach i rzuciwszy okiem na pieczęć i podpis powiedział — Cieszę się że was przysłano. Trzy doby nie spałem.

Oczy miał zapuchnięte i przekrwione. Twarz jego, obwisła ze zmęczenia, pokryta była kurzem. Zdjął z ramienia opaskę, podał mi ją i otworzył drzwiczki w balustradzie. Rozarł ścierpniętą nogę i poszedł bez słowa ku wyjściu.

Pozostałem sam z chłopakami, którzy usiedli na blatach stołów i patrzyli na mnie oczyma zaciekawionych wilków Byli to partyzanci z oddziału Armii Ludowej rozgromionego w pobliskich lasach przez cofające się formacje SS.

Ponieważ nie wiedziałem co mam ze sobą począć, okręcając na palcu opaskę i gwiżdżąc melodię „Byłam z mamą.." otworzyłem drzwiczki w balustradzie i zająłem miejsce mego poprzednika.

W nocy zaczął padać miękko mięsisty śnieg. Obchodząc posterunki rozstawione wokół „Centrocelulu" cieszyłem się że zelżeje mróz i że będzie sanna. Cicho już było na przedmieściu, strzelano jedynie tu i ówdzie bez potrzeby. Zakończyłem obchód i otwierałem żelazne drzwi, w które zaopatrzona była od zewnątrz wartownia posterunku, kiedy w głębi uciszonej śniegiem ulicy, pojawiła się sylwetka biegnącej kobiety. Kobieta biegła bezgłośnie i szybko przynaglana ujadaniem psów. Wymachiwała rękoma tak, jakby z wielkim wysiłkiem rozbijała przed sobą ścianę powietrza i mroku.

— To Korzeniowska — powiedział wartownik „Filip", ALowiec i przytrzymał za łokcie kobietę. — Co jest pani Korzeniowska? Co jest?

Kobieta nie mogła mówić. Oddychała tak szybko i spazmatycznie jak człowiek umierający, któremu nałożono aparat tlenowy. Powietrze świszczało jej w nozdrzach. „Filip" łyknął ślinę i szepnął: — „Zabili?"

Kobieta skinęła głową. Twarz jej była szklana ze strachu. Później wszystko potoczyło się zbyt szybko, abym zdolny był zapanować nad swoimi czynnościami i czynnościami ludzi, którymi miałem dowodzić. Inicjatywę zagarnął w swoje ręce „Siny" dobry przyjaciel i towarzysz Korzeniowskiego. Obudzono go złą wieścią — spał na stole. Ześlizgnął

się z niego prosto w stojące obok buty, usiadł na stołku i patrzył porażonym wzrokiem na Korzeniowską. — ,Ajaj... zaczyna się znów to draństwo k...ewskie. Ajajaj takiego człowieka... Że też nie pomyślał człowiek. Jego kapowali już dawno. To na pewno „Wołodyjowski" ze swoimi sitwesami. Ajajaj..." — stękał przez chwilę, ale kiedy myśl o zabójstwie przerżnęła zupełnie mroki otumanienia sennego i objęła ogniem mózg, zmrużyły się jego maleńkie mysie oczka a twarz poszarzała. Zerwał się z miejsca, ryknął kilka rozkazów i nie trafiając sztyfcikiem klamry w dziurki pasa opinał na sobie złachany kożuch. Na około zgrzytały sprężyny wgniatane nabojami w głąb magazynków i miękko stukały skorupy jajowatych granatów, wrzucanych do kieszeni. Przed drzwiami zatupotały konie.

— Jazda komendancie. O rany boskie, ja z tych bandziorów flaki paznokciami wyciągnę...

Wsiadłem do sań ostatni i we wnętrzu wartowni pozostała tylko kobieta, która nie zaczęła jeszcze płakać. Myślałem o tym, że ciepło idące od pieca i przytulne światło naftowej lampy nasycą ją spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, a wówczas zapłacze.

W osiedlu za miastem sąsiedzi nic nie mogli nam powiedzieć. Słyszeli strzały i bali się wyglądać. Jedynie babuleńka, która wyszła za swoją potrzebą, widziała przez dziurę po wyrwanej desce, że z domu Korzeniowskich wymknęło się trzech ludzi, śpieszyli się oni i szybko zniknęli staruszce z oczu.

— „...Wzięli się tak, jakby na Banioszkę albo ku Wrześnicy" — tłumaczyła wskazując dobitnie gestami kierunek. — „Później wyleciała Korzeniowska i poleciała... A my zgasilim światło". „M... tak... M... tak..." — stękał „Siny" i obijał psim harapem śnieg ze swoich butów.

Korzeniowski leżał zabity pośrodku izby. Ciało jego przerzucone było przez krzesło, które widać przewrócił padając. Z jego otwartych ust na podłogę wyciekła mała kałuża sczerniałej już teraz krwi. Odwróciliśmy go twarzą ku górze i rozprostowaliśmy niezastygłe jeszcze w cieple izby zwłoki. Ręce złożono mu na podołku w geście statecznym, jaki nadaje się zazwyczaj zmarłym i ktoś podwiązał ręcznikiem opadłą szczękę.

— Nie podwiązuj za mocno Jasiek — powiedział cicho któryś z partyzantów. — Za ścisło zawiążesz to później zostaną smugi na policzkach.

Ruszyliśmy dalej szosą wiodącą na zachód ku Banioszce i Wrześnicy poprzez granicę Rzeszy i „G. G.". Gnaliśmy konie w wariackim galopie, a odgłos sapania zwierząt i brzęku orczyków wzmagał się rytmicznie, gdy mijaliśmy drzewa przydrożne. Zmarznięte pnie rezonowały jak struny. „Siny" kilkakrotnie kazał zatrzymywać, łomotał w okna ślepych po nocy domostw, wypytywał gwałtownie rozespanych ludzi drżących z zimna pod narzuconymi na bieliznę kożuchami. Ślad urwał się już gdzieś na dziesiątym kilometrze, ale on opanowany gniewem i zły przynaglał woźniców. Świstali zatem na palcach i bili batami czarne zady koni.

— Napijcie się komendancie, na dobre zdrowie i na pamięć po Korzeniowskim. No... — „Siny" otarł dłonią szyjkę flaszki, która obeszła kolejno skołczałych z zimna partyzantów. — Dojeżdżamy i świtać zacznie za dwie godziny. Tu same szkopy i folksdojcze po tych wsiach nackoło. To już dawna Rzesza. Tylko ostatnia swołocz tu się uchowała. Nie zdążyli uciec. Z nimi to nie ma co... rewizję zrobimy. Nie?

— Ano, trzeba by. Ale czy my tu kogo znajdziemy, to pytanie. Człowiek nie szpilka.

— Szpilka nie szpilka, a zrewidować trzeba. Obowiązek służbowy. — Oczki „Sinego" jarzyły się mocno w zacisznej niszy baraniego kołnierza. Pomyślałem, że byłoby dobrze przetrząsnąć wieś, bo przecież jeśli nawet nie ma w niej morderców Korzeniowskiego, to może się zdażyć, że utknął tu w swej ucieczce któryś z bojowych majstrów O.T. np. Galonska lub może szczęśliwym trafem ugrzęźli tutaj Ahrne Zerek albo Johann Konnareck. Tych chętnie upokorzyłbym bijąc po mordzie i uwięziłbym w zimnych i pełnych szczurów piwnicach fabryki „Centrocelul".

Sanie miękko zakołysały się na złagodzonych śniegiem wybojach bocznej drogi i kiedy zamajaczyły kontury pierwszych domów wioski i psy wybiegły pod kopyta końskie, pomyślałem, że przecież Niemcy gdyby byli na naszym miejscu ustawiliby karabiny maszynowe tak, aby mogły prowadzić ogień wzdłuż zabudowań i podpaliliby szybko stodoły. Żywa dusza nie uszłaby z tej wioski zduszonej pomiędzy dwoma pagórkami. Myśl taka trwała przez chwilę w moim mózgu, roziskrzonym nieco wódką i wiedła na pokuszenie. Przy pierwszej chałupie zatrzymaliśmy się i zaraz ktoś załomotał do drzwi. Przybycie nasze nie wywołało paniki. Zaledwie w kilku oknach zaświtały pomarańczowe, mętne ogienki. Tutejsi myśleli zapewne, że to z głównego traktu zeszedł na kwaterę oddział radzieckich żołnierzy, zmęczonych nocnym, zimowym marszem. Szykowali się zatem do niechętnej gościny, zaprawionej biadoleniem i zgniłymi uśmieszkami. Wszelako twarze tych ludzi napięte do uśmiechu uwiędły na nasz widok. My staliśmy gromadą przy drzwiach, milczeliśmy trzymając za broń i nie byłoby sensu czarować nas polską mową i podziękowaniem za oswobodzenie. „Siny", który pochodził z tych stron i znał miejscowe stosunki, złapał zaraz odrętwiałego gospodarza za koszulę na piersiach i warknął:

— Mów łachudro, jesteś tu sołtys i powinieneś wiedzieć... Przychodził kto do wsi w nocy? Psy szczekały? Mów cholero, bo ci łeb ukręcę.

Kobiety, skupione w kącie obok pieca, kwiknęły i natychmiast rozpoczęły lament. W izbie panował kwaśny zapach snu i zleżałego pierza. W twarzy i w końcach palców stukotała rozgrzana teraz krew. Patrzyłem przez szybę znużenia i senności jak ,Siny" potrząsa folksdojczem i jak nic z niego nie może wytrząsnąć.

— Daj pokój — powiedziałem. — To nie ma sensu. Przeczeszemy wieś raczej. Wszystkie zabudowania po kolei. Nie uciekną nam. Na śniegu daleko widać i ślady zostawią.

„Siny" rzucił sołtysa na łóżko i powiedział powoli:

— To, że kenkartę spaliłeś, żeby nie było wiadomo której kategorii jesteś, nic cię nie uratuje. A synka twojego jak złowię, to nie daj jemu Boże... Ja nie jestem mściwy, ale on pożałuje, że się urodził. A i ty pożałujesz zgniłku.

— Tak oto każdy z nas ma swojego Niemca — myślałem sennie. — Ja mam swojego, „Siny" ma swojego. Wystarczy, aby każdy odegrał się za swoje i już będzie spokój.

Rewizja we wsi trwała długo. „Siny" penetrował każdy zakątek, tupały buty po strychach i terkotały krótkie serie wystrzałów, którymi ludzie „Sinego" pruli mrok piwnic i czarne zakamarki sąsieków. Brnąłem od chaty do chaty po głębokim śniegu i zasypiałem w każdej z nich na stojąco zaraz przy drzwiach. Wielkim wysiłkiem woli zmuszałem się do dalszej wędrówki. Opornie wstawał dzień. Śnieg bielał coraz intensywniej i piały koguty w kurnikach. Światło dnia usuwało senność z moich oczu. Zdawałem sobie coraz dobitniej sprawę z tego, jak bardzo bezcelowe są nasze czynności i zapewne dlatego wzmagała się we mnie coraz większa wściekłość, której opanowywać nie chciałem. Coraz większym wstrętem napawały mnie rozkudłane lamentujące folksdojczki i ich mężowie, milczący jak białe grobowe kamienie.

— Dlaczego robią tyle zgiełku? — myślałem przechadzając się wzdłuż opłotków. — Przecież ich nie zabijamy. Nie bijemy ich nawet. Gdybyśmy my potrafili krzyczeć tak, aby w krzyku tym zawarty był cały bezmiar krzywdy, którą nam wyrządzili, runęłyby lawiny w Himalajach...

Wybiegł z którejś chaty na drogę „Siny" niosąc pod pachą sztukę materiału Mrugał oczami od blasku i wołał:

— Patrz, komendant, co znalazłem. Wiecie skąd to? Oszabrowali pociąg rozbity na torze parę kilometrów stąd. Manufaktura i żarcie. Pochowali. Pełno tu tego. „Sęp" wykrył.

— Zabieraj w cholerę — krzyknąłem.

Teraz się zaczęło piekło. Wieś brzęcząca do tej pory jak ul, rozryczała się nagle jak dęta orkiestra. Na domiar złego zapaliła się gdzieś komórka, w której pędzono samogon i niezręcznie w pośpiechu wygaszono ogień pod kotłem. Chłopcy taszczyli bele materiałów, szopa płonęła z trzaskiem, wrzeszczały baby, broniąc spadłego z nieba dobytku, do którego przywykły, wyły psy kopane ciężkimi butami. Kłębiło się wszystko to i osuwało obok mnie jak ciężka woda powodzi. Wściekłość moja stała się tak wielka, że graniczyła nieomal ze stanem narkozy. Zdawało mi się, że zaraz nacisnę spust automatu i szyć zacznę pociskami w tę trzęsącą się kupę bab, w błyszczące okna domów, w ujadające psy, w zesztywniałych ze strachu Niemców. Buzowała w mej głowie nieprzespana, zła noc pełna końskiego galopu i świstu powietrza.

Wszedłem do chaty sołtysa i długo piłem wodę z wiadra trzymając je oburącz przy ustach. Sołtys wstał z ławy, gdy wszedłem i już tak sterczał przy oknie, nie śmiał bowiem usiąść. Zerkał bojaźliwie na dwór, gdzie wesoło pokrzykiwali ludzie ,Sinego", ładując sanie skonfiskowaną manufakturą. Obuł sztylpy i założył trzy koszule — szykował się widać do drogi, przewidywał, że zabierzemy go na pokutę. Otarłem wargi i strząsnąłem krople z palców na jego tęgą twarz. Wzdrygnął się, odszedł od okna i skrzywił usta w uśmiechu. Miał długie ręce o ciężkich dłoniach kowala, którymi mógł mnie zadusić.

Trzasnęły drzwi od sieni i do izby wszedł „Siny" taszcząc za łeb młodego człowieka.

— Jest ta swołocz — powiedział „Siny" i odsapnął.

— „Wołodyjowski"? — zapytałem radośnie.

— Tamten też się na mnie nadzieje dziś czy jutro. Nie, to Hans Jaroszek — synalek tego... — wskazał sołtysa, który wyglądał tak jakby stał na łamiącym się lodzie. — Opowiedz komendantowi, jakżeś gospodarzył na ziemi mojego ojca Opowiedz mat' twoja... jakżeś tu z Polakami wojował...—„Siny" zamilkł i tylko cicho bulgotało mu w gardle przekleństwo, które powtarzał szeptem.

— Spuszczaj portki — powiedział po chwili złowróżbnie. Młody sołtysiak odpiął pośpiesznie pasek, obnażył się a rzemień wetknął w usta. Palce rąk zacisnął na parapecie okna. Lamentujące baby „Siny" usunął z izby i podał mi psi harap.

— Wam pierwszeństwo. Walcie a zdrowo i po partyzancku. Na tym bacie komendant werkszucu w „Centrocelulu" prowadzał swojego buldoga. Pies obgryzał łydki robotnicom. To niemiecki bat.

Złość moją jak nadęty balonik rozcięło pierwsze uderzenie harapa. Później już obojętnie patrzyłem na czerwone smugi, które moje ciosy wypalały na białym tyłku folksdojcza. Nogi jego dygotały bardzo szybko.

— Co też ja robię? — myślałem zażenowany. — Biorę pomstę?

Kiedy folksdojcz posikał się, oddałem bat „Sinemu".

— Kończ — powiedziałem — ja zapalę.

W rzeczywistości nie mogłem dłużej patrzeć na usłużnie wypięty zad, na kępki siana we włosach, na owłosione krzywe nogi i na kałużę moczu. Wyszedłem w śnieg. Woźnice zaprzęgali konie do załadowanych belami tkanin sań. Zapaliłem fajkę i nasłuchiwałem rytmicznych klaśnięć bata. Teraz Niemiec krzyczał.

Od strony szosy polem biegła gromada ludzi. Nasi woźnice wyprowadzili właśnie naładowane już sanie na drogę. W zbliżającej się szybko grupie folksdojczek zobaczyłem dwóch otoczonych przez nie oficerów rosyjskich. Jeden z nich podbiegł do mnie i zapytał sapiąc ze zmęczenia.

— Kto komendant tych mołojców? — wskazał na partyzantów tłoczących się przy saniach.

— Ja... Ale...

— Hej Kola! — krzyknął wtedy do swego towarzysza ów oficer. — Bat'ko Machno objawił się w polskim wydaniu.

Podszedł drugi oficer i patrzył srogo. Guzy mięśni wyskakiwały mu na policzkach świeżo ogolonych, pokrytych tęgą, jak na pomarańczy skórą.

— Ty czego ludzi grabisz? A? Czego palisz wieś? Z kim tutaj nahajem wojujesz? A?

Baby uczepiły się ich szyneli, dźgały w moją stronę palcami i beczały bezustannie.

— Ty kto taki? — zapytał pierwszy oficer w uszatej czapie.

— Ja komendant milicji. Ale...

— Łobuz jesteś. Ot co — powiedział drugi w okrągłej czapce z niebieskim, lotniczym otokiem. — Mało tu ludzie wycierpieli... czego gnębisz... Przystrzelićby ciebie jak szczura. I kuli szkoda... Ty skąd?

— Z miasta „Z" w fabryce „Centrocelul" stoję. Ale wy...

— Zobaczymy się jeszcze. A teraz zabieraj się stąd i to szybko.

Odeszli w kierunku szosy. Widziałem z daleka ich samochód maleńki pod wielkimi drzewami.

Do miasta powróciliśmy krótszą drogą polami na skos.

Wieczorem zawarczał przed żelaznymi drzwiami naszego posterunku willys. Weszli dwaj oficerowie rosyjscy, ten w szarej czapce i lotnik, towarzyszyło im dwóch czerwonoarmistów.

Zdziwili się nieco, kiedy zastali mnie siedzącego spokojnie za stołem z fioletowymi centkami od kopiowego ołówka na czole. Pisałem raport. Wyjaśniałem im długo i przekonywająco pomyłkę, jaką popełnili. Pokazywałem niemiecką mapę województwa z oznaczoną granicą Rzeszy i kenkarty zatrzymanych na posterunku folksdojczów, wreszcie samych folksdojczów. Twarze ich rozjaśniły się.

— No cóż. . — powiedział lotnik. — Baby krzyczą... dom goreje... — Nahajami bijecie... Manufakturę ładujesz na sanie. Po prostu Machno objawił się... Baby mówiły po polsku przecież. Kto wiedział, że to Niemcy... Ba, gorzej.

„Sęp" przyniósł butelkę okowity i otworzył puszkę z wieprzowymi ozorami. Trąciliśmy się filiżankami i łyknęliśmy zgodnie.

— Ano tak, Kola,—powiedział oficer w uszatej czapie, artylerzysta. — Idziemy tak szybko naprzód, że ani nie zdążysz poznać ludzi, a draństwo ma różne postacie. O czym tu mówić...

Gwarzyliśmy długo w noc przepijając statecznie po gospodarsku. Opowiadałem o Korzeniowskim i o sobie, o dziwnej i trudnej robocie, którą wykonywać mi przyszło, a o której nic nie wiem. O swoich nędzach i o walce, którą toczyliśmy i toczymy. Kiwali głowami. Znali to wszystko.

— Ech bracie — powiedział lotnik. — Wojujesz... śmierci w oczy patrzysz... daleko od kobiety i domu... kobieta twoja zapomniała widoku twojej twarzy. Gotuje się zupa wojny na naszych gnatach... Ty choć na swojej ziemi... u siebie.

— Tak, ale na mnie nikt nie czeka. Mam dwadzieścia lat i przeżyłem wszystkich swoich. Wycierpiałem tyle, ile można znieść, a byli tacy, którzy cierpieli więcej niż ja i było ich miliony. I ty marszczysz się kiedy wspominasz jak biłem dziś Niemca po dupie — zwróciłem się do artylerzysty.

— Co mnie twój Niemiec obchodzi. Zawinił on — jego rozstrzelaj. Ale czego tłuc nahajem. Ręce brudzisz i duszę. No zamilcz i pomyśl ile tobie, waszym ludziom, mnie, Koli, ot Iwanowi, Griszy... — wskazał na Krasnoarmiejców zmożonych snem przy piecu — naszym ludziom zrobiono złego. Ile odebrano nam spokojnych nocy, miłości kobiet. Milcz i pomyśl o tym.

Za ścianą na ulicy łączącej się z szosą biegnącą ku zachodowi warczały motory kolumny samochodowej. Lotnik Kola drzemał. Czoło pochylił w dół i oparł je na pięści.

— Pomyślałeś? No a teraz wyobraź sobie siebie samego jak bijesz po dupie tego Niemca. Nie śmieszne to? — Artylerzysta pokiwał głową. — Z czym walczyłeś i walczysz do tej pory? No?

— Z Niemcami.

— No tak... A ten twój towarzysz, którego zabili ubiegłej nocy?

— Źle się wyraziłem... Ja walczę z faszyzmem.

— No więc. Do tego potrzebna jest duma. Uderzył po ramieniu drzemiącego towarzysza. — Wstawaj Kola będziemy przedłużać naszą drogę...

Bohdan Czeszko

JERZY KAMIL WEINTRAUB

DO MAKSYMA TANKA
ALBO
LIST ZIMOWY O BIAŁORUSKIEJ JESIENI

Kto ten pejzaż zimą niewydarzoną zatruł?
Dlaczego muszę rozwieszać w ramie okiennej
obraz nadciągającej z przyszłości jesieni,
czując na czole ostre pocałunki wiatru?
Zbyt szorstkie są te słowa. Niech opadnie mgła
i skropli się w oddechu usypiających obór.
Tam rozmyślając nad ziemią i nad sobą
senne krowy przeżuwają liryczne źdźbła.
Ile jest opowieści w błękitnej senności,
gdy nucą kołowrotki, snując babie lato.
Jutro, gdy przetrze oczy młody świt, radośnie
zaorze dawną młodość idący wolno traktor.
Lecz przedtem, miły, powiedz, kto z nieba błękitnego
wilgotny księżyc, jak owoc snu, wyłuska.
Za rzeką trąbią gęsi i dymi śpiew noclegu
i, jak głęboka kołyska, usypia je noc białoruska.
Jestem oczekiwaniem. Nim wiosło świtu pluśnie
wsłuchaną w siebie Narocz, ile upłynie dni?
To dla mnie. A dla ciebie codziennej pieśni uśmiech,
który żegluje do mnie, jak list przez mgły.
Kiedyś spotkamy się jeszcze. Splecionych dłoni pieśnią,
szumem traktorów i sosen powita mnie Białoruś
Zobaczę ciebie, poeto, jak przypomnienie wieczoru,
który na naszą przyjaźń sypał gwiazdami września.
To tyle, towarzyszu. A jeśli mnie nie będzie,
ten wiersz, zostanie po mnie mroźnym, zimowym wspomnieniem
które, jak babie lato, w pamięć przeszłości się wprzędzie
i w sen poety o białoruskiej jesieni.

zima 1941

GAWOT

Zmierzch, jak opiłki ołowiu, zapada w plusz,
gdy w pustych sercach mebli sypie się szelest trocin.
Cisza rozchyla pokój jak płatki szarych róż,
na których dnie znużenie zwija się w kłębek koci,

wtedy zwisa nad stołem płomień niebyłych świec.
W kartach drgnęło wspomnienie. I rusza biały szereg.
Porcelanowy gawot w serwantce dźwięczy, więc
walety podają dłonie dłoniom karcianych tancerek.

Ukłony szeleszczą, jak liście. Damy przegięte wpół
są szkieletami krynolin, na których przeszłość się przędzie,
gdy wbiega skrwawiony człowiek i pięścią tłucze w stół!
I sypią się bezdusznie dzwonki i żołędzie...

(razem z Krzysztofem Baczyńskim)
23 października 1941

Wiersze z teki pośmiertnej, które niebawem ukażą się w druku

Z TEKI ADAMA MARCZYŃSKIEGO

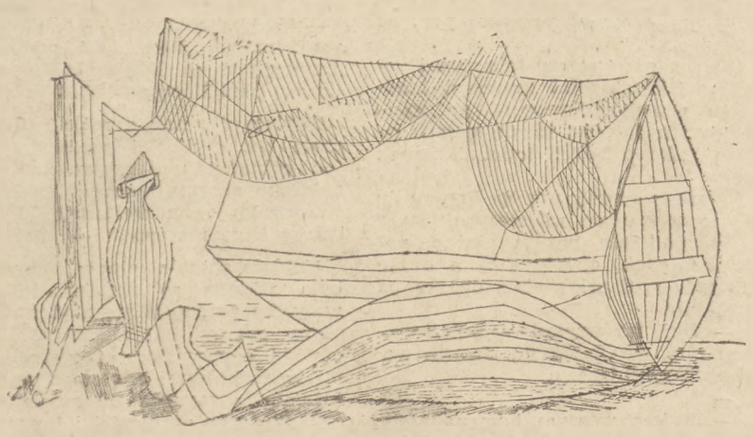

Sieci

K. I. GAŁCZYŃSKI

KINO NA LOTNISKU W PRADZE

Autorowi „Śniegu" Janowi Pilarzowi

Maleńka salka, w której palmy rosną,
t. j. cienie w kształcie palm, do nich się tulą
tacy, co pragną przeżyć tragedię miłosną,
to znaczy mają na to czas, czyli urlop.

Ekran nie większy od tabliczki mnożenia. Ładny
właśnie idzie film komiczny „SERWUS, HONZO!" —
Ale palą tu tak obficie węglem brunatnym,
że nawet Afrodycie byłoby gorąco.

Gdy się wychodzi na świat, jest trochę deszczu,
albo słońce, przed którym defilują chmury.
I znów refren motoru: To samolot z Bukaresztu
zlatuje na ziemię jak Merkury.

Nowy numer „Twórczości"

Styczniowy (1) zeszyt miesięcznika „Twórczość" otwiera piąty już z kolei rocznik tego pisma. Zarówno jakość opublikowanego materiału, jak i jego celowy i przemyślany układ, zasługują na rzetelne uznanie.

Dwie publikacje wstępne — „Kultura i literatura w obliczu zjednoczenia partii robotniczych" i „Państwowe nagrody artystyczne" przynoszą w pomysłowo zredagowanym montażu najważniejsze wypowiedzi na temat doniosłych wydarzeń politycznych i kulturalnych ostatniej doby — a więc wyjątki z przemówień i artykułów: premiera J. Cyrankiewicza, w.-min. W. Sokorskiego, J. Borejszy, M. Jastruna, C. Bobińskiej, oraz laureatów nagród państwowych — L. Rudnickiego, X. Dunikowskiego, L. Schillera i B. Woytowicza.

Dział literacki zeszytu zawiera trzy szczególnie wartościowe pozycje: Pierwsza z nich — to poemat znakomitego poety Pabla Nerudy pt. „Niech się zbudzi Drwal". Neruda przeciwstawia sobie dwa światy: swoją ojczyznę Amerykę, opętaną przez demona wojny — i świat narodów dobrej woli, świat pokojowej pracy ze Związkiem Radzieckim na czele; przywołując imię wielkiego prezydenta Stanów, Abrahama Lincolna, zwanego Drwalem — przestrzega Amerykę przed nowym rozlewem krwi: poemat swój kończy potężnym wołaniem o pokój

Równie wartościową pozycją są fragmenty ostatniej powieści Tomasza Manna pt. „Doktór Faust", tłumaczone przez Wandę Kragen. Niezwykłość tego dzieła sygnalizowały już nasze czasopisma — przekład wybranych rozdziałów potwierdza sądy nielicznych czytelników oryginału.

Czytelnicy znajdą w styczniowym zeszycie „Twórczości" świetne opowiadanie Marii Dąbrowskiej z czasów okupacji, pt. „A teraz wypijmy..." Jest ono wybrane z tomu przygotowywanych do druku opowiadań pt. „Przygoda człowieka myślącego". Pierwsza ogłoszona po wojnie proza beletrystyczna Dąbrowskiej — to prawdziwe wydarzenie w naszym życiu literackim.

Interesującą kolumnę współczesnej poezji polskiej wypełniają piękne wiersze Tadeusza Różewicza i Mariana Jachimowicza.

Dział sprawozdawczy, bogaty jak zwykle, zawiera gruntowne i obszerne omówienie całokształtu twórczości Poli Gojawiczyńskiej, od pierwszego tomu „Powszedni dzień" z r. 1933 do ostatnich powieści powojennych. Poza wymienioną pracą dział krytyczny zawiera recenzje z tomów poetyckich Wł. Broniewskiego, St. Wygodzkiego, St. R. Dobrowolskiego, L. Bartelskiego, oraz poetów śląskich — Na osobne wyróżnienie zasługują sprawozdania z dwóch zjazdów naukowych: pierwsze: pióra Kazimierza Piwarskiego informuje o wynikach VII Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu, — drugie napisane przez Andrzeja Wasilewskiego, przedstawia obrady III Zjazdu Związku Kół Polonistycznych w Łodzi.

Kolumna „Not" zawiera 3 szkice: W. Kragen o Tomaszu Mannie, W. Natansona o pisarzu amerykańskim Howardzie Faście—i J. Garbaczowskiej o ks. Ściegiennym.

W trzydziestą pierwszą rocznicę powstania Armii Radzieckiej

A. PIERWIENCEW

„TRZECI SZTURM"

Fragment scenariusza

I

Moskwa. Kreml. Marszałkowie Woroszyłow i Wasilewski omawiają z generalissimusem Stalinem kwestię oswobodzenia Krymu.

J. STALIN: Tak; żeby sprawę południa rozstrzygnąć najwłaściwiej i najdokładniej, musimy ją sobie tutaj szczegółowo omówić. A więc po pierwsze: czy Niemcy mają zamiar trzymać się na Krymie? Co mówią ostatnie doniesienia?

WASILEWSKI: Według raportów wywiadu Hitler rozkazał utrzymać Krym za wszelką cenę.

J. STALIN: Hm... A z czysto wojskowego punktu widzenia — czy to dla niego korzystne?

WASILEWSKI: Oczywiście nie.

WOROSZYŁOW: No chyba! Toż tam 200.000 Niemców czeka, aż się Rosjanie zechcą z nimi bić. Bardzo by się teraz przydali Kleistowi nad południowym Bugiem i Dniestrem...

J. STALIN: Ba! To z politycznych względów Hitler tak się trzyma półwyspu. Upadek Krymu, to ogromny upadek prestiżu Niemiec w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech. A także w Turcji... Krym otwiera drogę na Bałkany!

(pauza)

J. STALIN: Chłopcy z floty czarnomorskiej znów dostaną swój Sebastopol i staną się panami morza. Hitler zatłoczył Krym wojskiem i będzie nadal wzmacniał XVII armię właśnie z tych czysto politycznych pobudek.

WOROSZYŁOW: W czterdziestym pierwszym i drugim armia Mannsteina wykrwawiła się pod Sebastopolem, to jej przeszkodziło w marszu na Kaukaz. Dlatego nie zdobyła Baku. A teraz nieprzyjaciel stara się skopiować tamto nasze posunięcie strategiczne.

WASILEWSKI: Więc Niemcy chcą wykrwawić nasze lewe skrzydło i uniemożliwić nasz marsz na Bałkany?

J. STALIN: A przynajmniej zatrzymać.

(Pauza, Stalin założywszy ręce do tyłu, przechadza się po pokoju).

J. STALIN: Niemcy, odcięci na Krymie, wierzą w jego niedostępność i w swoje siły. Myślą o obronie. Otóż tę wiarę musimy obalić. Musi w nich dojrzeć *(mocno)* i dojrzeje myśl — o ewakuacji! Krym musi być wyzwolony jak najszybciej. Walki o Krym muszą się rozpocząć w chwili, gdy wojska Malinowskiego zaatakują Odessę.

II

Bankiet w salonach Pałacu Tureckiego na Krymie. W orientalnej sali Pałacu, przy stoliku z winem i owocami, siedzą niemiecki generał Sixt i dowódca wojsk rumuńskich na Krymie, gen. Teodorescu. Rozmowa ma charakter pozornie przyjacielski.

SIXT: A co? To Turcy wprawiają pana w ten ponury nastrój? Dzieciństwo! Tymczasem są nam potrzebni. Przepuszczają nasze okręty przez cieśniny.

TEODORESCU *(ironicznie)*: Tak, tak, trzymacie się ściśle układu w Montreux... A nasze położenie na Krymie jest coraz gorsze. Widocznie mało tam jakoś przez te cieśniny przepuszczają, co, generale?

SIXT: Jeśli pan sądzi, że wszystko, co mamy na Czarnym Morzu, przepłynęło Dunajem, to jest pan doprawdy naiwny.

TEODORESCU: Nie. Nie jestem naiwny. Siedem rumuńskich dywizji tu, na Krymie, myśli, że broni własnego terytorium. Nowego terytorium rumuńskiego. A tymczasem Turcy przepuszczają waszą broń i ludzi i liczą, że Krym będzie ich.

(Sixt rozsiadł się wygodnie w fotelu i popija kawę).

TEODORESCU: A wy, Niemcy, chcecie wykiwać i ich, i nas. Tak, tak, generale, śmiejemy się, pijemy wino, żartujemy — a na północy stoi armia Tołbuchina i czeka.

SIXT: Jak się to mówi: niezbadana dusza rosyjska.

TEODORESCU: Tu nie o duszę chodzi, ale o niezbadany plan jednego człowieka. Wie pan; na północy jest wielkie miasto, a w nim stara twierdza o dziwnej nazwie — Kreml... -

III

Generał armii Tołbuchin obchodzi okopy nad Siwaszem. Wraz z grupą oficerów schodzi do ziemianki sztabu. Zaraz po nim wchodzi do ziemianki generał Krejzer ze swymi oficerami. Tołbuchin prosi oficerów o dokładne przedstawienie na mapie planu ognia artyleryjskiego, przedstawienie tak szczegółowe, jakby chodziło o bezpośrednie rozkazy dla dowódców pułków.

Na plan wchodzi dowódca drugiej dywizji gwardii Zacharow.

ZACHAROW: Marszałek artylerii Woronow uczy, by nieprzyjaciela wprowadzać w błąd.

TOŁBUCHIN: Tak. A więc?

ZACHAROW: Mam 800 dział. O 8.00 rozpoczynam przygotowanie artyleryjskie. Piechota jest już podciągnięta i gotowa do szturmu. Niemcy cofają się do trzeciej czy czwartej linii okopów i czekają przeniesienia ognia. Istotnie przenosimy z kolei ogień na trzecią linię okopów, ale ogień tylko z połowy dział. Pozostałe 400 trzymam w zanadrzu — w zapasie. Niemcy wracają do pierwszych linii, oczekując ataku naszej piechoty. Robię im tę przyjemność: moi żołnierze krzyczą „hurra!" i wystawiają chochoły.

KREJZER: Co wystawiają?

ZACHAROW: Chochoły; takie, jak na polach. Jak strachy na wróble. Ze słomy, ale w mundurach, z hełmami, jak się patrzy. Mam już takich 3 tysiące, a przygotowuje się jeszcze więcej. Niemcy dadzą do nich ognia i tym samym zdradzą swoje stanowiska. Wtedy wygarniemy do nich z pozostałych 400 dział.

(Tołbuchin słucha, najpierw zdziwiony, potem zaintrygowany).

ZACHAROW: Niemcy początkowo nie zrozumieją, co się dzieje. Wycofają się przed obstrzałem do czwartej linii okopów. Ale tam dostaną się pod ogień pierwszych czterystu.

(Tołbuchin uśmiecha się z aprobatą)

ZACHAROW: Po pół godzinie robię przerwę. Znowu wystawiamy wiechy i znowu zaczynamy ogień. Niemcy zostaną w tylnych liniach, gdy my tymczasem odrzucimy chochoły i przedrzemy się przez Wał Turecki, aż ku pozycjom iszczuńskim.

TOŁBUCHIN *(oddaje Krejzerowi jego plan operacji)*: No, tak. Bądźcie tak dobrzy, przemyślcie to wszystko jeszcze raz i zameldujcie mi się o 23,30 z gotową decyzją.

A. Pierwiencew

przełożył **Jerzy Płażewski**

Prostota, prawda i wielkość

„Prawdziwy człowiek" — film radziecki. Scenariusz **M. Smirnowa** wg. powieści **B. Polewoja.** Reżyseria: **Aleksander Stolper;** zdjęcia: **M. Magidson;** dekoracje: **I. Szpinel;** muzyka **M. Kriukow.** W rolach głównych: **P. Kadecznikow, A. Dikij, M. Ochłopkow, T. Makarowa, L. Celikowska.**

Nad nieruchomo, pod ciężką kiścią śniegu, stojącymi drzewami słychać przejmujący jazgot kilku motorów samolotów myśliwskich i ostry szczęk gwałtownego pojedynku karabinów maszynowych. Słychać — lecz nie widać; tym znakomitym efektem dźwiękowym zaczyna reżyser Aleksander Stolper swój film. Nie jest to jednak tylko efekt. Dyskretny wstęp uprzedza widza, z jakiego punktu widzenia będzie mu przedstawiona wojna. W filmie tym nie chodzi o podniecające pojedynki lotnicze. Eliminacja wzrokowych wrażeń walki powietrznej w pierwszej scenie wprowadza nas natychmiast w nastrój całego obrazu.

Na niewielką polanę spada radziecki samolot myśliwski. Lotnik Mieresjew żyje, lecz na skutek gwałtownego upadku nie ma pełnej władzy w nogach. Samolot spadł daleko na tyłach nieprzyjaciela. Mieresjew wbrew wszelkim pozorom prawdopodobieństwa postanawia przedostać się do swoich.

W miarę jak mijają dni bez żywności, bez pomocy znikąd — postać lotnika zajmuje coraz więcej naszej uwagi i los tego człowieka zaczyna obchodzić nas coraz bliżej. Znakomity realizm tych scen (głęboki plener, las w śniegu, para buchająca z ust, coraz więcej zniszczony kombinezon) utwierdza nas w przekonaniu, że jest to film nieprzeciętny, wyrosły z najlepszych tradycji wielkich realizatorów radzieckich.

Reżyser, operator i kompozytor dali najlepszy przykład współpracy i absolutnego zrozumienia. Uporczywie powtarzane przez bohatera liczby stawianych kroków, stapiają się w jedno z piękną kompozycją klatki filmowej z milczeniem muzyki. Powiedziano kiedyś, że muzyka bez pauz muzycznych byłaby niczym. Kompozytor pozwolił milczeć lasom i polanom, akcentując nagłymi zrywami najbardziej dynamiczne momenty, w których muzyka mogła podkreślić stan psychiczny lotnika i bohaterstwo jego decyzji.

■

Druga część filmu, która rozgrywa się niemal wyłącznie w jednej lśniąco-białej sali szpitalnej nasuwała zupełnie inne problemy dla realizatora. Milczenie lasu zastąpione jest dialogiem wielu chorych i ciężko rannych. Jaka ma być ich mowa, aby jej znaczenie nie było mniejsze od znaczenia ciszy w pierwszej części filmu? Tu przecież wykuwa się druga decyzja Mieresjewa, decyzja, że będzie latał mimo amputacji obu nóg.

Dzięki dużemu umiarowi w dialogach i celowemu dozowaniu środków artystycznych reżyser wywiązał się całkowicie z trudnego zadania. Zamiast człowieka samego, ukazał nam go tu na tle ściśle określonej, niewielkiej społeczności. Ciężko ranny komisarz wskazuje młodszemu koledze właściwą drogę do życia, drogę — jeśli tak można powiedzieć — przodownictwa w bohaterstwie.

I tu znów powtarza się scena liczenia kroków, tym razem kroków stawianych na protezach sprawiających z początku straszliwy ból.

Ani jedna scena w szpitalu nie jest przypadkowa, niepowiązana z akcją. Osoby działające, głównie komisarz, lekarz naczelny i pielęgniarka są związane z tłem, a tło nacechowane jest bezkompromisowym realizmem. Wierzymy, że jesteśmy w szpitalu i przyglądamy się scenom najzupełniej autentycznym.

Po raz pierwszy od dawna widzimy na ekranie sufity (przeważnie przy zdjęciach w atelier konieczność oświetlania reflektoram uniemożliwia budowę, sufitów) a oświetlenie zewnętrzne daje wrażenie zdjęć robionych w słońcu. Na tym tle ucharakteryzowany nie do poznania Aleksiej Dikij i M. Ochłopkow stwarzają trafnie ujęte postaci, przekonywające dzięki opanowanej grze aktorskiej, bez najmniejszej szarży. Mniej trafnie wypadła Tamara Makarowa w roli pielęgniarki, słabiej związanej tematycznie z przeżyciami głównego bohatera.

■

Dopiero jednak trzecia część filmu jest najmocniejsza. Reżyser w myśl zapowiedzi danej nam w pierwszej części, świadomie przesuwa główny akcent z bitwy powietrznej na celowe wykorzystanie protez. W tym zestawieniu końcowa bitwa nie jest punktem kulminacyjnym, lecz wynikiem, rozwiązaniem (pomyślnym) dramatu. Moment kulminacyjny to przyjście lotnika na plac startowy i rozkaz odrzucenia laski, który wydaje dowódca eskadry nieświadom tego, że lotnik nie ma własnych nóg. Reżyser w ten sposób ustrzegł się nadmiernej rozbudowy pozornie „filmowej" części filmu, skupiając uwagę na tym, co jest najbardziej charakterystyczne dla człowieka, który musi się nauczyć posługiwać protezami.

Nauka postępuje stopniowo. Podkreślono przy tym wrażenie, jakie upór lotnika czyni na kolegach rekonwalescentach. Upór ten mieści się jednak w ramach zupełnie ludzkich możliwości. Energia ludzka zastępuje w tym filmie czynniki nadprzyrodzone, popularny „cud" w filmach amerykańskich.

W interesującym skądinąd filmie amerykańskim „Najlepsze lata naszego życia", gdzie kwestia protez u rąk gra jedną z głównych ról, scenarzysta, reżyser i operator zatopili się z rozmiłowaniem w szczegółach budowy „cudownych" protez — niektóre partie filmu to niemal reklama fabryki tych zastępczych rąk i nóg. Przez takie traktowanie tematu uczucia widowni do nieszczęśliwego bohatera są rozmaite; podobnie poszkodowanych film może pogrążyć w rozpaczy, zamiast wskazać celową i możliwą drogę do samodzielnej pracy.

Właśnie pod tym względem film Stolpera jest wybitnym osiągnięciem i nie ma nic wspólnego z fałszywie rozumianym optymizmem, choć podkreśla wartość życia i budzi podziw dla bohaterstwa zwykłego, szego miasta", „Dni i noce"). Tryumf filmów Stolpera: „Chłopak z naszego miasta", „Dni i noce"). Tryumf bohatera podkreślony jest między innymi pominięciem w trzeciej części filmu sceny liczenia kroków powtarzanej celowo w dwu pierwszych.

Nigdy jeszcze Stolper nie wykazał tak troskliwej dbałości o doskonałość formy swego filmu. Nie należy tego mylić z czczym formalizmem. Treść filmu dostatecznie przekonywuje o ważności tematu, ale formę dobrano tu najwłaściwszą, organizacyjnie związaną z realistyczną treścią. W trzech odrębnych partiach tego filmu, które starałem się, w ślad za scenarzystą, scharakteryzować, Stolper zostosował montaż, ruch w klatce i muzykę całkowicie zgodną z treścią filmu, tworząc jedno z wybitnych dzieł kinematografii.

O aktorach pisałem omawiając poszczególne części filmu. Warto jednak dodać charakterystyczny dobór zespołów dla każdej partii filmu. W całym filmie dominuje postać Mieresjewa w wykonaniu Pawła Kadocznikowa. Nie ulega wątpliwości, że jego samotna, milcząca wędrówka przez las to wielki egzamin aktorski zdany — pomimo wielu zbliżeń — bez pomyłki i przykrej w takich wypadkach szarży. Uwagę zwraca świetna charakteryzacja.

W szpitalu aktor otoczony jest przeważnie twarzami rannych kolegów, starszych lekarzy i niemłodej już pielęgniarki. Jest to okres jego niepewności po utracie obu nóg. Obecność osób ciężko chorych i atmosfera szpitalna sugeruje jego wycofanie się z życia. Natychmiast jednak po powzięciu decyzji, bohater przenosi się w inne otoczenie, w środowisko młodzieży lotniczej. Pierwszą osobą, na którą natrafia, jest młodziutka i pełna świeżości Ludmiła Celikowska. Film zaczyna tętnić życiem, mimo, że scenarzysta — w ślad za powieścią — ustrzegł się od wprowadzenia jakiegokolwiek romansu.

Aktorzy byli więc w tym filmie nie tylko sobą, ale i świadomą funkcją nastroju każdej sceny filmu, tworzyli środowisko, w którym myśli i postanowienia bohatera znajdowały pole do rozkwitu.

Leon Bukowiecki

Odważna próba

„Trzeci szturm — film radziecki. (Kijowska Wytwórnia Filmów Fabularnych). Reżyria **Igora Sawczenki** Scenariusz: **A. Pierwiencew.** Operator: **M. Kiryłłow.** W rolach głównych: **A Dikij, N Bogolubow, W. Stanicyn, J. Szumskij.**

Gigantyczne zmagania Armii Radzieckiej z niemieckim najeźdźcą w drugiej wojnie światowej, heroiczna epopeja walczącego narodu, były i pozostały jednym z zasadniczych źródeł tematycznych kinematografii radzieckiej. Dodajmy: źródłem filmowo niesłychanie obfitym i różnorodnym.

Minioną wojnę widzieliśmy w dotychczasowych filmach radzieckich w dwojakiej formie. Po pierwsze w dramatach takich, jak „Aleksander Matrosow" czy „Zoja". Po drugie w filmach tego pokroju, co „Berlin" czy „Bitwa pod Kurskiem".

Pierwsze z nich pokazywały wojnę w wąskim, pierwiastkowym wycinku, przez pryzmat indywidualnych losów jednego bohatera. Drugie zaś, operując wyłącznie dokumentarnym, autentycznym zdjęciem operatora kroniki filmowej, ujmowały syntetycznie zamknięte, historyczne całości — rozdziały wojny.

Oba rodzaje uprawiane były z powodzeniem w czasie samej wojny i bezpośrednio po niej. Spełniły one nie tylko doraźnie swą rolę propagandową, lecz pokazały również światu wysoki poziom ideowy i artystyczny kinematografii radzieckiej, na wspólnym froncie z armią walczącej z najeźdźcą.

Gdy jednak czerwony sztandar zatknięto już na dymiących ruinach berlińskiego Reichstagu, gdy umilkły działa i opadły dymy bitewne, zrozumiano, że dwa powyższe typy filmów wojennych — to za mało. W każdym z tych typów dojść można do perfekcji ideowo-artystycznej i stworzyć dzieło sztuki na najwyższym poziomie. Żaden jednak z wymienionych typów nie jest w stanie — z samego założenia — powiedzieć całej prawdy o wojnie, kiedy się tę wojnę traktuje nie jako powierzchowny zbiór efektownych scen bitewnych i nie jako sumę przeżyć kilku ludzi lub kilku środowisk ludzkich, lecz jako **logiczny, kierowany proces dziejowy.**

Filmy czysto dokumentarne, z powyższego punktu widzenia, ujmowały wojnę zbyt zewnętrznie, zbyt mechanicznie. Filmy czysto fabularne — zbyt subiektywnie, zbyt fragmentarycznie.

A chciano pokazać rzecz wielką, choć trudną do wypowiedzenia językiem kina, że wojna, konkretna wojna 1941—45 roku, nie była zdarzeniem przypadkowych, chaotycznie działających żywiołów, lecz starciem określonych sił społecznych, starciem mózgów, strategii i woli zwycięstwa.

Realizatorzy radzieccy nie od razu zrozumieli, że wyjście znaleźć można tylko przez stworzenie zupełnie odmiennego — od dwóch istniejących — gatunku filmu. Pierwszą próbą w tym kierunku był pamiętny „Wielki przełom", dzieło artystycznie dojrzałe, nie spełniające jednak wszystkich warunków, o których mowa.

„Wielki przełom", skutkiem nieśmiałego scenariusza, był filmem niejako anonimowym. Fikcyjna nazwa miasta, o które toczy się bitwa, fikcyjne postaci generałów radzieckich i niemieckich świadczyły, że autorzy scenariusza nie zdobyli się na postawienie ostatniego kroku, który nadałby ich dziełu wagę dokumentu historycznego.

Wprawdzie „Wielki przełom" był bezsprzecznie filmem „à clef", w którym pod fikcyjne nazwy i nazwiska nie trudno było podstawić prawdziwe, obrana jednak forma niedopowiedzianej prawdy dziejowej nie mogła budzić zaufania pełnego, usprawiedliwiała podejrzenia **o stylizację** tematu, o jego udramatyzowanie. Wiemy, że podejrzenia takie byłyby w niejednym wypadku słuszne.

Toteż bezpośrednio po zrealizowaniu „Wielkiego przełomu" ozwały się głosy krytyki radzieckiej. Nie negując dużych osiągnięć formalnych obrazu, podkreślano, że nie można ustawać w pół drogi. W pracy nad trzecim gatunkiem filmu wojennego należy dojść do ostatnich konsekwencji: stworzyć film w pełni historyczny, oparty o rekonstrukcję rzeczywistych zdarzeń, nie zdeformowany literacką dowolnością w oświetleniu wydarzeń.

Tu jednak podniosły się protesty. W ten sposób — twierdzili oponenci — po wyprodukowaniu czterech czy pięciu filmów o odrębnych niby operacjach, a więc i o odrębnych tematach, okaże się, że jeden film jest **bliźniaczo podobny** do drugiego.

Oponentom nie podobna odmówić pewnej racji. Do chwili obecnej zrealizowano bądź oddano do realizacji pięć filmów wojennych nowego typu. Prócz „Trzeciego szturmu" są to: „Bitwa stalingradzka", „Upadek Berlina", „Piąte uderzenie" (ofensywa radziecka na Białorusi), oraz „Bitwa o Leningrad". Trudno nie obawiać się w tych warunkach nieuniknionych powtórzeń, kolizji efektów czy podobieństw w montażu. Czy realizatorom uda się całkowicie zapobiec temu niebezpieczeństwu, zobaczymy przy następnych pozycjach tej serii.

Entuzjaści mieli jednak w zanadrzu ważki argument, który, jak się zdaje, przeważył szalę. Jeśli odejmie się wielkim filmom wojennym ich precyzyjną prawdziwość historyczną, powstanie jeden więcej indywidualistyczny (i fikcyjny!) dramat należący organicznie do jednej z dwóch wymienionych na początku grup. A filmy obu grup — przypomnijmy — z samego założenia nie są w stanie powiedzieć pełnej prawdy o wojnie jako o logicznym procesie dziejowym.

Jak będzie teraz z odpowiedzią: film dokumentarny czy fabularny?

1. Zdjęcia „Trzeciego szturmu" nie są autentycznymi zdjęciami (w większości) czołówek kinoreporterskich, lecz planową reinscenizacją według opracowanego z góry scenariusza. A więc film — **niedokumentarny.**

2. Brak w filmie udramatyzowanego wątka literackiego, deformującego czy spychającego na plan dalszy rzeczywistość; natomiast cechą dominującą jest pedantyczna dbałość o prawdę historyczną. A więc film **dokumentarny.**

3. Konstrukcja „Trzeciego szturmu" nie jest jednak konstrukcją filmu dokumentarnego. Z rzeczywistości dziejowej wybrano tylko takie fakty, które, ustawione razem, złożyłyby się na zorganizowaną artystycznie całość. Twórca scenariusza, mając do dyspozycji zamiast dowolnych elementów tworzywa fikcyjnego — autentyczny materiał wspomnieniowy, jest co prawda ograniczony w swych możliwościach. Nie ma jednak rozsądnego powodu, dla którego miałby on w tych warunkach stworzyć rzecz artystycznie gorszą. A więc film **artystyczny, fabularny.**

Jasne, że jeśli zestawić ze sobą te trzy oceny, to ostatecznie wypadnie odpowiedzieć: nie dokumentarny, nie fabularny, lecz — żeby mu już nadać „nową", różnicującą nazwę — **artystyczno-dokumentarny.**

Czemu tak wiele uwagi poświęcamy przy porządkowaniu filmu do jakiegoś określonego gatunku twórczości? Oczywiście dlatego, że jest to film w swoim rodzaju pierwszy, że podobnego dotąd nie widzieliśmy.

Film jest nowy. A czy dobry?

Pozwólmy sobie na niewielką dygresję. Nie jest przypadkiem, że film anglosaski nie podjął realizacji podobnie gigantycznych zamierzeń, jak „Trzeci szturm" czy „Bitwa stalingradzka". Wyprodukowano tam „Bohaterki Pacyfiku" czy „A imię ich milion"; wyprodukowano „Prawdziwą chwałę" i „My spod Arnheim", produkowano zarówno filmy fabularne jak i dokumentarne Realizacji artystyczno-dokumentarnych nie podjęto.

Ludzie radzieckiego kina doszli do filmu artystyczno-dokumentarnego po drodze prawdy życiowej i walki o ujawnienie istotnych sprężyn rozgrywających się w naszych oczach wypadków.

Akcja filmu toczy się właściwie w dwóch płaszczyznach, co prawda gęsto się przeplatających. Pierwszą stanowi zasadnicza siatka zdarzeń historycznych, drugą — fakty ilustrujące głębokość i patos wypadków. Ta druga płaszczyzna stanowi integralną część pierwszej: pomaga związać losy prostego człowieka, nieznanego żołnierza II wojny światowej, z losami jego kraju.

Epizody „ilustracyjne" rzadziej noszą charakter anegdotyczny, służąc zasadniczo symbolizacji. Symbolika to swoiście filmowa: prawie zawsze dynamiczna; symbol to nie przedmiot, lecz wynik akcji (zatykanie sztandaru na zdobytej górze Sapun; składanie deklaracji partyjnych przed bitwą).

Monumentalne sceny batalistyczne stanowią bezsprzecznie najsilniejszy akcent filmu. Pogłębiono w stosunku do „Wielkiego przełomu" wyrazistość w przedstawieniu pracy sztabów (doskonała filmowo rozmowa Stalina z Wasilewskim przy pomocy pasków telegraficznych). Narastanie kulminacyjnego punktu operacji przedstawiono logicznie i z pasją dramatyczną.

Natomiast zdecydowanie nieudała jest część filmu poświęcona stronie niemieckiej. Szablon i jednostronność, z jaką nakreślono sylwetki niemieckich generałów razi w zestawieniu z bardzo prawdziwymi postaciami z drugiej strony frontu.

Prymitywny, operetkowy Hitler i naiwna scena w Reichskanzelei wywołują niezamierzone efekty humorystyczne. Jest to tym mniej spodziewane, że widywaliśmy już w filmach radzieckich zupełnie prawdziwych Niemców.

Rozmach operatora Kiryłłowa w komponowaniu klatek, zwłaszcza scen bitewnych, przypomina najlepsze filmy Eisensteina. Zupełnie nowym pomysłem był zdumiewający travelling kamery najeżdżającej na pole bitwy: pierwsza jego część dokonana została z nurkującego samolotu, druga — z gwałtownie hamującego samochodu.

Trud włożony w realizację filmu opłacił się wielokrotnie. Jeżeli nowy rodzaj filmu, który nam pokazano, nie jest jeszcze wolny od pewnych niedociągnięć, stanowi on niemniej poważny krok naprzód w kierunku realizmu filmowego w tematyce wojennej.

Próba — odważna. Czekamy na dalsze.

Jerzy Płażewski

IRENA PANNENKOWA

Odpowiedź Anglosasom — w języku niemieckim

W czasie swego pobytu w USA katolicki poseł do Sejmu RP J. Frankowski w liście otwartym do redakcji amerykańskiego dziennika „The Evening Star", odpowiedział na zamieszczony na łamach tego dziennika artykuł dra Appa, który deklarując się jako katolik zaatakował zachodnie granice Polski. Poseł Frankowski stwierdza w swym liście, że wszyscy katolicy w Polsce podzielają bez zastrzeżeń stanowisko Rządu RP w sprawie naszych zachodnich granic, a na argumentację o charakterze moralnym odpowiada przypowieścią biblijną o dobrym Samarytaninie, który opatrzył rany zadane wędrowcowi przez rozbójników. Znany pisarz francuski Fryderyk Oranam na przykładzie tej przypowieści wskazał różnicę między miłosierdziem a sprawiedliwością. Otóż czyn Samarytanina jest miłosierdziem, ale sprawiedliwość wymaga, by wędrowcy byli zabezpieczeni przed napaścią rozbójników: „polscy katolicy nie zamierzają bynajmniej stać się stadem jagniąt zdanych na łaskę rzeźnika".

Zamieszczamy artykuł Ireny Pannenkowej, jako wymowny przyczynek do „zagadnienia", które bezskutecznie podnoszą imperialiści. Praca Ireny Pannenkowej będzie tym dla nich ciekawsza, że opiera się na drogich anglo-amerykańskiemu sercu źródłach niemieckich.

PODSTAWOWĄ przyczynę żywiołowej emigracji Niemców II i III Rzeszy z tzw. niemieckiego wschodu (Ziemie Odzyskane) na zachód (Fluch nach Westen) stanowiła sytuacja gospodarcza, w jakiej te ziemie znalazły się i znaleźć się musiały w systemie gospodarczym Rzeszy, zwłaszcza po r. 1871. Chodzi o to, co słynny ekonomista niemiecki, prof. Wilhelm Volz, określa, jako „Ostdeutsche Wirtschaft" w książce pod tym tytułem[1]).

Prof. Volz, zdeklarowany nacjonalista niemiecki i przeciwnik dyktatu wersalskiego stoi ponad wszelkimi podejrzeniami, gdy chodzi o niemiecką „prawowierność" narodową. Książka jego wyszła, jak wspomniano, przed erą Hitlera i Goebbelsa, w r. 1930, kiedy jeszcze prawda miała jaki taki walor w Niemczech, i można ją było jeszcze ze względną swobodą głosić. Prof. Volz wiedział, że do jakiejkolwiek akcji sanacyjnej i konstruktywnej się zmierza, trzeba naprzód oczyścić grunt z utartych fałszów, mitów i złudzeń. Z godną szacunku odwagą wali więc w mity, złudzenia czy świadome fałsze oficjalnej propagandy niemieckiej, której ofiarą padły z zadziwiającą łatwością niektóre asy wiedzy ekonomicznej na Zachodzie, z Keynesem na czele.

Zwalcza prof. Volz przede wszystkim mit o rzekomym przeludnieniu Rzeszy — i stwierdza:

„Całość Rzeszy jest słabo zaludniona i wynosi na ogół nie więcej niż 75 osób na km²". W szczególności wskazuje na niesłychanie rzadkie zaludnienie całego niemal wschodu: z wyjątkiem jednego tylko pasa na Śląsku — „...zaledwie 40 do 60 ludzi na km²". Stąd — niekorzystne konsekwencje gospodarcze, „tym bardziej, że sąsiednie państwo polskie zaludnione jest bez żadnych prawie przerw daleko gęściej. A przez to powstaje po stronie polskiej przykry nacisk, który powoduje nieuchronnie ruchy migracyjne[2])".

Istotne zagadnienie stanowił tutaj upadek gospodarczy tych ziemi, i to zarówno w dziedzinie przemysłu, jak i w rolnictwie.

Upadek przemysłu śląskiego uważa Volz za „beznadziejny" wskutek oderwania go od polskiego zaplecza. Pisze dosłownie:

„Beznadziejny upadek śląskiego i wrocławskiego przemysłu to rezultat odpadnięcia sąsiednich obszarów (na rzecz Polski); były to najgłówniejsze rynki zbytu dla tego przemysłu. Próby znalezienia wyrównawczego rynku zbytu gdziekolwiek indziej w Rzeszy skazane są na niepowodzenie", a to z następujących powodów: 1) „podobna jest struktura bogato uprzemysłowionej Saksonii, która odgradza Śląsk od północnego zachodu", 2) „przemysł zachodnich Niemiec, który sam o swe istnienie często musi walczyć, nie może odstąpić jakichkolwiek rynków swego zbytu na rzecz wschodu" i 3) „także w głębi Rzeszy przemysł z trudem walczy o swe życie i żadnego rynku zbytu nie może oddać".

W rezultacie:

„Wszędzie brak wschodowi źródeł dochodu z pracy przemysłowej; dlatego cały obszar wschodni pogrążony jest w największej biedzie".

I w innym jeszcze miejscu stwierdza autor to samo, wyliczając, jakby dla uniknięcia możliwych jeszcze złudzeń i nieporozumień, wszystkie przyłączone dziś do Polski kraje na wschód od Odry:

„Pomorze Odrzańskie na wschód od Odry, Prusy Wschodnie, Marchia Graniczna, Rejencja Frankfurt nad Odrą, Północny i Wschodni Śląsk, są całkowicie niekorzystnie położone, bez możliwości wyrównawczych. Ten wycinek w całej swej rozciągłości jest **troską całej Rzeszy** (Sorgenkind des Reiches)[3]).

A więc — nie skarbiec i spichlerz, bez którego Rzesza nie może się rzekomo obejść i wyżywić, ale jest to — mimo istotnie wielkich swoich bogactw naturalnych — kraj, pod władzą Rzeszy obumierający i pustoszejący, „Sorgenkind des Reiches", ciężar, kula u nogi, — broniony wyłącznie ze względów prestiżowych i militarystyczno-imperialistycznych (baza wypadowa), broniony pod maską argumentacji na wskroś fałszywej i już przed kilkunastu laty w puch rozbitej przez niemiecką naukę.

Nie tylko bowiem przemysł tych ziem „nie jest potrzebny" Rzeszy. To samo, wbrew mitom propagandowym, dzieje się z rolnictwem. Oto co ma prof. Volz do powiedzenia o rzekomym wschodnim „spichlerzu Niemiec":

„Przestarzały pogląd, jakoby rolniczy wschód, dzięki swym nadwyżkom produkcyjnym, zaopatrywał resztę Rzeszy, **nie ma już usprawiedliwienia;** tylko względnie skromna cząstka nadwyżek rolniczych wschodu znajduje sobie zbyt w Rzeszy, i to po cenach często całkowicie nieopłacalnych; wielka część marnuje się[4]).

W szczególności: „Jako dostawca pszenicy, niemiecki wschód nie gra dla Rzeszy żadnej roli, jako dostawca żyta — bardzo nieznaczną (str. 85). Co do ziemniaków zaś, to Rzeszy ziemniaków ze wschodu (niemieckiego) w ogóle wcale nie trzeba". Das Reich den Osten für seine Kartoffelnversorgung überhaupt gar nicht braucht (str. 75).

Toteż na tym wschodzie „13 proc. ziemniaków przy zbiorach złych (przy dobrych — odpowiednio więcej) niszczeje". Stanowi to z górą 2 miliony ton ziemniaków, które marnieją rokrocznie, nie znajdując zbytu!

Prof. Volz konkluduje:

„Skoro zatem wciąż jeszcze się słyszy, że „niemiecki wschód jest podstawą żywnościową Rzeszy", to jest to wniosek zupełnie fałszywy. Smutne, ale prawdziwe... Wschód produkuje bez wystarczających możliwości zbytu, a ...Rzesza nie potrzebuje nadwyżek ze swego wschodu. Das Reich braucht den Ueberschuss seines Osten nicht)[5]).

Wobec takiego stanu rzeczy nie można się dziwić, że gdy w lecie 1930 r. niemiecka komisja parlamentarna wraz z dyrekcją Izby Rolniczej szczecińskiej przeprowadziła inspekcję osad rolnych na Pomorzu przedodrzańskim, zwłaszcza w powiatach lęborskim, bytomskim, sławińskim i słupskim, to w sprawozdaniu z tej inspekcji stwierdzić musiała:

„Jest sprawą uderzającą, że na pytanie, jakie by mieli życzenia specjalne, **bezwzględna większość osadników** odpowiedziała: **zwolnijcie nas** z tych tutaj osad rolniczych jak najszybciej...

...I głośne były wśród nich takie wypowiedzi, z których wynikała kompletna rezygnacja naszego niemieckiego osadnika i niewiara w dalszy pomyślny rozwój". [6])

Więc prof. Volz ostrzega:

„Obecny stan rzeczy jest tak beznadziejny, że nie chodzi już o to, **czy** problem ten da się rozwiązać, lecz o to, **jakby** go najszybciej i najskuteczniej rozwiązać można".

Jakże to — w dziwnym trochę sformułowaniu autora — „najszybciej i najskuteczniej rozwiązać można" problem, nie troszcząc się o to, **czy** jest rozwiązalny?

Odpowiedź prosta — istne jajko Kolumba!

„**Znaczne ofiary** ze strony zachodu są tu nieodzowne. **Państwo musi pieniężnie pomóc wschodowi,** i to bardzo wydatnie!"[7]).

Okazuje się, że ani w przemyśle, ani w rolnictwie, nic kraj ten nie ma do ofiarowania, co by Rzeszy było potrzebne. Przeciwnie, Rzesza musi ponieść „znaczne ofiary" na rzecz tego kraju. O ile, oczywiście, miałaby go zatrzymać, choćby wbrew naturze i logice sytuacji, nawet — jak to wynika z przytoczonego wyżej raportu — wbrew opornej postawie znacznego odłamu jego niemieckiej ludności.

Z tej opornej postawy, z tego zniechęcenia tamtejszej niemieckiej ludności rolniczej wyciąga prof. Volz takie wnioski:

„Jest to zupełnie wykluczone, aby śmy zdolni byli do wytworzenia na wschodzie zdrowego i odpornego **wału chłopów,** póki rolnictwu dzieje się źle"...

I dlatego właśnie „ofiary" są nieodzowne, bo:

„...w przeciwnym wypadku imigracja Polaków, która już się powoli zaczyna, stawać się będzie coraz silniejsza. Polacy stoją cywilizacyjnie niżej i są mniej wymagający. W ten sposób polonizacja naszego czysto niemieckiego wschodu poczyni zawrotne postępy...

...Otóż nie wolno nam dopuścić do tego, aby niemiecki rolnik opuścić musiał tę ubogą (sic!) ziemię, która go, mimo ciężkiej pracy wyżywić już nie może, opuścić na zawsze, porzucić z ulgą, aby ona bez walki przypadła Polakowi[8]).

Słowem — już nie ziemia bogata, nie „spichlerz Rzeszy", niezbędny dla jej wyżywienia, ale ziemia „uboga", która nawet uprawiającego ją rolnika, „mimo ciężkiej pracy, wyżywić nie może!" Rząd niemiecki musi dopłacać niemieckiemu rolnikowi, aby mógł i chciał tam pozostać, bo inaczej, „bez walki" ziemia ta przypaść musi „mniej cywilizowanym" Polakom. Ci już tu sobie dadzą radę — bez dopłaty.

Prof. Volz jednak domaga się dla tego kraju od rządu nie tylko doraźnych funduszów konsumcyjnych.

„...Jest — pisze on — naszym nieodzownym zadaniem wytworzenie nowej harmonii gospodarczej między naszym zachodem a wschodem, aby ten wschód powiązać z całością Niemiec nowymi nierozerwalnymi więzami".

Inaczej mówiąc: skoro harmonia naturalna nie istnieje, skoro dawne więzy, którymi niegdyś przykuto ten rdzennie polski kraj do Niemiec, pękły i zmurszały — trzeba stworzyć nową, sztuczną harmonię, trzeba spreparować więzy nowe.

I oto jak wygląda nowy wspaniały długofalowy plan niemieckiego ekonomisty i zarazem — typowo niemieckiego „idealisty", prof. dra Volza. Całą gospodarkę na tej trudnej, niesfornej, po długich wiekach wysiłków niemieckich wciąż jeszcze z Niemcami nie zglajchszaltowanej ziemi — od Królewca po Szczecin i od Szczecina po Kłodzko i Bytom — **przestawić** na gospodarkę hodowlaną, nade wszystko na hodowlę **świń,** w kolosalnych rozmiarach. Wówczas te miliony ton ziemniaków (ściśle: ponad dwa miliony), które, jak stwierdza Volz, dotąd „bez możności zużycia niszczały corocznie" na byłym niemieckim wschodzie, będą konsumowane przez miliony świń, — wraz z nadwyżką koło miliona ton zbywającego corocznie żyta (str. 95). Nie byłoby już wtedy potrzeby sprowadzać nawet tego trochę smalcu amerykańskiego i nierogacizny. Spełniłoby się pragnienie niektórych anglosaskich mężów stanu: Niemcy stałyby się samowystarczalne. Nawet tę drobną ilość brakującej i sprowadzanej dotąd pszenicy mogłyby, zdaniem Volza, rdzenne Niemcy produkować same.

Na całym nadbałtyckim i nadodrzańskim pograniczu rozciągnąłby się żywy **wał świń** — dobrze ziemniakami i żytem spasionych, okazałych, tucznych pięciu milionów świń, co nareszcie powiązałoby „harmonijnie" ten kraj „z całością Niemiec nowymi nierozerwalnymi więzami", z drugiej zaś strony stworzyłoby też nareszcie żywą tamę przeciw „przykremu naciskowi" Polaków ze wschodu.

Tylko to mogłoby, zdaniem czołowego ekonomisty niemieckiego, uratować „wschód niemiecki" dla Niemiec.

„...Jeśli się bowiem to nie uda — oświadcza melancholijnie prof. Volz — wtedy nasz wschód jest stracony, wtedy nasze wnuki znów będą oglądać Łabę (sic!) jako naszą granicę; ziemię tę Polska... istotnie obsadzi i posiądzie — i tysiąc lat historii niemieckiej przeminie nadaremnie. (...Polen wird alles Land östlich Elbe... durchdringen und besitzen und ein Jahrtausend deutscher Geschichte ist vergebens verrauscht (str. 104).

Jednakże plan uczonego niemieckiego nie został zrealizowany. Nie był też, jak się okazało, wcale wyjściem jedynym. Skoro bowiem, jak to udowodnił istotnie prof. Volz, Śląsk wraz z ziemią lubuską i Szczecinem może rozwijać swoje bogactwa naturalne tylko w związku z Polską, a oddać Polsce tych ziem nie pozwala pruska racja stanu, wedle której trzeba zawsze brać a nigdy oddawać, jeśli więc „nie można przyłączyć Śląska do Polski, to „należy" przyłączyć Polskę do Śląska. Tego zaś nie da się zrobić inaczej niż przez wojnę.

Tak znalazło się drugie wyjście — **wojna.** Tym bardziej, że właśnie w wojnie i tylko dla wojny naturalne bogactwa Śląska były Niemcom potrzebne, były nawet konieczne. Świń i tak, okazało się, było w Niemczech dosyć, głodu przez całą wojnę nie zaznano, natomiast węgla, żelaza etc. nigdy w wojnie nowoczesnej nie za dużo, nawet zazwyczaj nigdy nie dość.

Tak więc druga wojna światowa, która wybuchła formalnie o Gdańsk, w istocie rzeczy, na dalszym i decydującym planie toczyła się m. i. o gospodarcze zaplecze dla Wrocławia i Szczecina.

Spośród państw zwycięskiej koalicji, jeden tylko Związek Radziecki zrozumiał logikę polityczno-gospodarczej sytuacji, i wyciągnął z niej konsekwencje. Anglosasi, jak zwykle, wykazali, że nie są zdolni do wybiegania myślą w przód poza jedynie chwilę bieżącą.

Dzisiaj główną troską anglosaskich mężów stanu jest, czy produkcja Śląska w rękach polskich będzie służyła Europie **tak jak w rękach niemieckich.**

Otóż **jak** mogłyby Niemcy produkcją śląską „służyć Europie", o tym dowiedzieliśmy się od nich samych. Albo kolosalny świński plan prof. Volza (uderzający, nawiasem mówiąc, w przedwojenny import amerykański Niemiec, a pośrednio przy całkowitej autarkii niemieckiej, stawiający co najmniej pod znakiem pytania całą wymianę handlową Niemiec z zagranicą), i wtedy produkcja naturalnych bogactw Śląska — poza zaspokojeniem potrzeb lokalnych — nie służy w ogóle nikomu, albo plan Hitlera: przyłączenie nie Śląska do Polski, ale **Polski** do Śląska, czyli wojna. Wtedy Niemcy, owszem, służyć będą, jak już służyli, Europie produkcją, także śląską, rozmaitych V^1, V^2, ...V^x.

Z niemiecko-pruskiego punktu widzenia **tertium non datur.**

Poza tym pozostaje, jako jedyne wyjście logiczne i życiowe, to, czego Niemcy panicznie się zawsze obawiali, i co wreszcie otwarcie już w r. 1930 stwierdzili: że, przy swobodnej grze interesów i możliwości **pokojowych,** ziemie nadodrzańskie z nieubłaganą koniecznością, jak dojrzały owoc, wpaść muszą z czasem w ręce Polski, tak z powodu imponderabiliów demograficznych (prof. Haushofer), jak i gospodarczych (prof. Volz). Obu tym uczonym narzucała się przy tym koszmarna wizja, już nawet nie Odry-Nysy tylko, ale Łaby, jako granicy niemiecko-polskiej!

Pozostaje pytanie: czy i w jakim stopniu Polska zechce i potrafi Europie udostępnić korzystanie z bogactw śląskich — a to w porównaniu z Niemcami?

Jako odpowiedź, niech posłuży, tytułem przykładu, jedno na razie, ale najbardziej dziś Europę interesujące zestawienie: [9])

Eksport węgla z niemieckiej przed wojną części Śląska (Śląsk Dolny i Opolski), przyłączonej do Polski w r. 1945:

Rok	1935	1945	1946	1947	1948
Miliony ton	1,7	2,3	5,7	8,5	11,5

Procentowy stosunek eksportu do całej produkcji tych ziem:

Rok	1935	1945	1946	1947	1948
% eksp.	7.1	29,2	39,6	44,5	47,7

Absolutny wzrost eksportu całego, od r. 1945 polskiego, zagłębia węglowego na Śląsku (wraz z katowickim, przyłączonym do Polski w r. 1920):

Rok	1938	1946	1947	1948	1951
Miliony ton	13.4	15	18,5	31	40

Więc już w r. 1948 eksport ten przewyższył 2.3 razy wysokość eksportu z r 1938. Według planu, w r. 1951 ma być już 3 razy wyższy.

Tak wygląda w rzeczywistości zestawienie gospodarki niemieckiej i polskiej pod kątem widzenia służenia Europie.

❖

Wykazano powyżej fałszywość przepowiedni ekonomistów anglosaskich, którzy po pierwszej wojnie twierdzili, że już ówczesne przesunięcie granic odbije się katastrofalnie na produkcji przemysłowej Niemiec, z produkcją węgla na czele, co miało jakoby prowadzić do katastrofy gospodarczej Niemiec i — Europy.

Sprawdźmy teraz, jak to rzekome pokrzywdzenie odbiło się na dochodzie społecznym i stopie życiowej Niemiec przedwojennych.

Według obliczeń Colina Clarka w pracy „The Condition of Economic Progress", dochód społeczny Niemiec w latach 1925—1934 wynosił na głowę ludności 646 dolarów **i był o 161 dolarów na głowę wyższy od przeciętnej europejskiej.**

W stosunku zaś do Polski, jeśli średnią wartość produkcji europejskiej na głowę, przyjmiemy za 100, to otrzymamy w zestawieniu:

Niemcy — 167, Europa — 100, Polska — 58.

Czyli dochód Polaka wynosił 35 proc. dochodu Niemca.

Obliczając wartość produkcji przemysłowej Niemiec w r. 1929 w ówczesnej wartości złotych, otrzymamy 76 miliardów złotych, gdy tak samo obliczona wartość produkcji przemysłowej całego obszaru Europy na wschód i południowy wschód od Niemiec (bez ZSRR) wynosiła wtedy tylko 22,5 miliardów złotych, czyli 3 i pół raza mniej niż Niemiec.

Oto gospodarcza podstawa agresji niemieckiej na całą tę środkowo-wschodnią połać Europy i — tajemnica sukcesów tej agresji.

Teraz pytanie: w jakim stopniu utrata ziem, obecnie przez Polskę odzyskanych, zuboży Niemcy, ściślej — zmniejszy dotychczasową olbrzymią ich przewagę gospodarczą w Europie w ogóle, a już zwłaszcza w tej części Europy?

Szukając odpowiedzi, pamiętać trzeba, że z różnych przyczyn, częściowo wyżej wskazanych, ziemie te były pod względem polityczno-gospodarczym upośledzone, zaniedbane, poniekąd zlekceważone. Niektóre zaś tereny, jak np. Prusy Wschodnie, stanowiły w gospodarce niemieckiej pozycję stale deficytową.

W rezultacie, choć powierzchnia tych ziem wynosiła 21 procent terytorium niemieckiego z r. 1938, to dochód społeczny, jaki one przynosiły, nie przekraczał 9 do 12 procent całego dochodu społecznego Niemiec.

Gdy zatem przez przesunięcie granicy na Odrę i Nysę każdy Niemiec stracił około 11 procent szans gospodarczych, to każdy Polak natomiast zyskał aż 75 procent[10]).

Zasoby więc gospodarcze Niemiec zostały zredukowane stosunkowo nieznacznie, Niemcy będą nadal gospodarczo uprzywilejowane, zwłaszcza w tej części Europy, nieco tylko mniej jaskrawo, a więc i mniej groźnie. Jednocześnie polski dochód społeczny dźwiga się do poziomu przeciętnej europejskiej, a nawet odrobinę ponad nią, gdy przed wojną spadał znacznie poniżej tego przeciętnego poziomu.

Przez wieki Niemcy wydzierali sobie wzajemnie zagrabiony przez siebie łup ziemi nie swojej, ziemi polskiej. Na północy Brandenburczycy i Krzyżacy, na zachodzie Luksemburgowie i Habsburgowie, a wreszcie zaciekłe boje o polski Śląsk stoczyli Prusacy z Austriakami. Potoki krwi bratobójczej niemieckiej wsiąkły w tę ziemię, jako okup za grabież, za zbrodnię. A lud polski tymczasem wciąż na tej ziemi siedział, orał jej pola, siał i zbierał plony, pracował w jej wnętrzu — kopalniach, i na jej powierzchni — w fabrykach, wydobywał jej płody i skarby. Ale pracował, zbierał wydobywał gromadził nie dla siebie, tylko dla „narodu panów", który używał tych bogactw po to, by od czasu do czasu krwią zalewać kontynent, coraz szerzej rozpościerać swą władzę, coraz więcej zdobywać niewolników.

Nic bardziej pouczającego nad mapę fortyfikacyj i pól minowych, jakie podczas ostatniej wojny pokryły ten niemiecki wschód"[12]).

Irena Pannenkowa

*) Fragment z większej całości.

[1]) Por. ZAP, Świadectwa Niemieckie, Nr 2, 30. 6. 1947: „Wschodnio-niemiecki rezerwat kolonialny". Zestawiono tam wyniki prac prof. Volze.

[2]) Str. 28. ZAP j. w. str. II.

[3]) Str. 87. Por. ZAP j. w. str. 14.

[4]) Str. VII. ZAP j. w. str. 8.

[5]) Str. 89—90. ZAP. j. w. str. 19.

[6]) ZAP j. w. str. 9.

[7]) Str. 100—101. ZAP. j. w. str. 8 — 9

[8]) Str 104. ZAP. j. w. str. 10.

[9]) Józef Kokot: „Polityka gospodarcza Prus i Niemiec na Śląsku (1740—1945)" Wydawnictwo Zachodnie. Poznań 1948. Strona 261. Książka ta jest kopalnią materiałów, wykazujących liczbami i faktami skutki tego, co Volz nazwał „Deutsche Ostwirtschaft": postępujące zaniedbanie i osłabianie produkcji śląskiej wraz z tym znaczne obniżanie się stopy życiowej ludności ziem nadodrzańskich, zwłaszcza rosnące upośledzenie i pokrzywdzenie pracującej ludności polskiej.

[10]) Według zestawienia Zachodniej Ajencji Prasowej (ZAP wrzesień 1947) opartego na obliczeniu dochodu społecznego Niemiec i Polski w granicach 1938 i 1945, przy czym punkt wyjścia stanowiły cyfry z r. 1929.

[11]) Atlas Ziem Odzyskanych, mapa nr. 8.

GŁOS AMERYKI

rys. B. W. Linke

Literatura orientalna

JAK między literaturami poszczególnych narodów europejskich istnieją wzajemne wpływy z jednej strony, a analogie wypływające z podobnego rozwoju ustroju społeczno - gospodarczego z drugiej strony, tak też takie same zależności dają się zauważyć między literaturami europejskimi i literaturami orientalnymi. Minął już okres zamykania się wyłącznie w literaturach europejskich, a zagadnienie wpływu na literaturę europejską wątków, form czy pierwiastków przejętych od literatur orientalnych coraz bardziej jest doceniane przez badaczy tej tak dobrze rozwijającej się ostatnio gałęzi wiedzy, jaką jest historia literatury porównawczej.

W ciekawej rozprawie „Do zagadnienia literackich związków Wschodu i Zachodu" (w nr. 4 „**Wiestnika Leningradzkowo Uniwersiticta**" z 1947) znany radziecki historyk i teoretyk literatury, członek korespondent Akademii Nauk ZSRR **W. M. Żyrmuńskij** cytując określenie Lenina o powtarzalności i prawidłowości w zjawiskach społecznych różnych krajów, co wypływa z nauki Marksa o formach społeczno - gospodarczego rozwoju, słusznie wskazuje, że jednolitość ta i prawidłowość występuje też właśnie w rozwoju literatury, uwarunkowanym od stopnia rozwoju społeczno-gospodarczego.

„Z drugiej znów strony"—jak pisze Żyrmuńskij — „istniejące w jednym procesie historycznym przeciwieństwa, nierównomierności stają się przesłankami dla kulturalnych i literackich związków zależności wzajemnej w literaturze". Nie ma bowiem żadnego zupełnie izolowanego zjawiska rozwoju kulturalnego; historia literatury porównawczej, która ma badać właśnie tak stadialne analogie między literaturami różnych narodów jak i związki wzajemne między literaturami poszczególnych narodów, musi więc dziś zerwać z „europocentryzmem" — jak to określa Żyrmuńskij — gdyż „Wschód i Zachód nie są od siebie oddzielone żadną ścianą nieprzebytą".

Zagadnienie badania związków między literaturami europejskimi a literaturami orientalnymi zaczyna więc wchodzić na nowe tory. Badania te podjęte są i w Polsce. Właśnie świeżo ukazały się dwie prace zahaczające o związki zachodzące między literaturami orientalnymi a literaturą polską w XVII i XVIII w. Praca dr. **Baranowskiego „Najdawniejsze polskie przekłady z literatury orientalnej"** (Łódź 1947, odbitka z „Prac Polonistycznych" tom V) zajmuje się najdawniejszymi w literaturze polskiej śladami zainteresowań literaturami orientalnymi. Zainteresowania te były zupenie zrozumiałe. Bliski kontakt z Turcją, tatarszczyzną, handel z Persją — wszystko to stanowiło podłoże dla infiltracji do Polski rozmaitych pierwiastków orientalnych z zakresu kultury materialnej czy duchowej. Zainteresowania literackie ograniczają się do kilku przekładów drobniejszych wierszy czy opowieści, ale mamy też w XVII w. jeden godny uwagi przekład utworu słynnego poety perskiego Sadiego „Gulistan" (Ogród różany) dokonany (prawdopodobnie z przekładu tureckiego) przez Polaka Samuela Otwinowskiego. Przekład aczkolwiek nie wolny od usterek przynosi chlubę zainteresowaniom orientalnym w literaturze polskiej w XVII w.

JÓZEF JANICZEK

10 milionów książek do bibliotek powszechnych

Postulaty bibliotekarstwa wobec planu 6-letniego

Organizacja sieci bibliotek powszechnych

Pełna sieć punktów bibliotecznych w liczbie 20 tys. jest obecnie w stadium końcowej realizacji; ostateczne jej wykończenie powinno wypaść pod koniec 1955 roku; wtedy każdy z 20 tys. punktów bibliotecznych powinien liczyć przynajmniej po 200 tytułów książek najbardziej wartościowych z zakresu literatury beletrystycznej i popularno-naukowej.

Pełna sieć bibliotek gminnych powinna być zorganizowana pod koniec 1949 roku; w czasie Planu Narodowego każda z bibliotek gminnych powinna powiększyć swój księgozbiór o blisko 1200 tytułów i liczyć plus-minus około 1700 tytułów. Pełna sieć bibliotek powiatowych została już zorganizowana w roku 1947; w okresie Planu Narodowego każda z bibliotek powiatowych powinna powiększyć przeciętnie swe zbiory o blisko 7 tys. książek i liczyć mniej więcej 10 tys. tomów.

Organizacja pełnej sieci bibliotek wojewódzkich, rozbudowa ich działalności w sensie przejęcia opieki instrukcyjnej nad bibliotekami niższego rzędu wypadnie na pierwsze lata Planu Narodowego.

Na tle tych planów i zamierzeń w zakresie organizacji krajowej sieci bibliotek powszechnych dosyć ostro rysują się niektóre zagadnienia związane z poszczególnymi typami bibliotek.

W jakim kierunku powinien pójść rozwój bibliotek wojewódzkich?

Wydaje się najpierw, że z wyjątkiem Warszawy i Łodzi we wszystkich pozostałych miastach wojewódzkich funkcje bibliotek wojewódzkich powinny pełnić biblioteki miejskie względnie odwrotnie. Taką możliwość organizacyjną przewiduje dekret o bibliotekach. Należałoby ją w całej pełni wyzyskać. Jesteśmy zbyt ubodzy, aby dzielić wysiłki, gdy na podstawie umowy o wspólnych świadczeniach gminy miejskiej i związku wojewódzkiego można powołać do życia duży warsztat pracy bibliotecznej, obsługujący zarówno ludność miasta jak i województwa w określonym umową zakresie.

Biblioteka wojewódzka samodzielna, względnie powiązana organicznie z biblioteką miejską, powinna prowadzić działalność w trzech zasadniczych kierunkach: 1) kompletowania księgozbioru o charakterze uniwersalnym oraz regionalnym w celu uzupełniania nim działalności bibliotek powiatowych i gminnych, 2) instruowania oraz podejmowania pewnych prac dla bibliotek powiatowych i gminnych w zakresie techniki bibliotecznej i wreszcie 3) reprezentowania potrzeb i interesów wszystkich bibliotek samorządowych w województwie wobec wojewódzkiego wydziału samorządowego i Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Spośród bibliotek samorządowych najbardziej dotychczas okrzepły *biblioteki powiatowe*. Dzisiejszy stan tych bibliotek pozwolił oprzeć się o nie w pracach nad tworzeniem sieci bibliotek gminnych i punktów bibliotecznych. Poza pracami o charakterze organizacyjnym w zakresie rozbudowy krajowej sieci bibliotek powszechnych oraz kształcenia bibliotekarzy, na biblioteki powiatowe spadnie wkrótce obowiązek opieki nad bibliotekami gminnymi i w punktach bibliotecznych udzielania wszelkiego rodzaju porad fachowych z zakresu techniki bibliotecznej, wreszcie poważne i bardzo odpowiedzialne prace związane z wykorzystaniem nagromadzonych w bibliotekach książek. Nawiązanie w tym zakresie bliskiej i bezpośredniej łączności z czynnikami prowadzącymi akcję czytelnictwa i samokształcenia stanie się wówczas pilną potrzebą.

Do jednej z najpilniejszych prac, które muszą podjąć biblioteki powiatowe jeszcze w bieżącym roku, a które w całości powinny być przeprowadzone w czasie realizacji Planu Narodowego, należy praca nad wydaniem katalogów książek, znajdujących się w bibliotece. Jakże czytelnik mieszkający na głuchej wsi, ma wybierać książki z biblioteki gminnej, jakże kierownik punktu bibliotecznego lub biblioteki gminnej ma uzupełniać swój księgozbiór książkami z biblioteki powiatowej, skoro nie zna jej zawartości, skoro nie wie, jakie książki w niej się znajdują.

Biblioteki gminne były pomyślane początkowo jako stałe. Pod wpływem potrzeby zbliżenia książki do czytelnika musiały jednak wyjść ze swymi księgozbiorami do punktów bibliotecznych. Utworzenie przy pomocy Komitetu Upowszechnienia Książki 20 tys. punktów bibliotecznych ze stałymi, niejako przytwierdzonymi do miejsca pobytu kompletami książek, nie zwolni bibliotek gminnych i powiatowych od obowiązku uzupełniania ich księgozbiorów książkami ze swoich zbiorów jako bogatszych i bardziej wszechstronnych.

Licząc się z koniecznością przebudowy organizacyjnej bibliotek gminnych w wyżej omawianym kierunku, należy równocześnie strzec się przesady w rugowaniu bibliotek powiatowych z dotychczasowej roli, roli organizatora punktów bibliotecznych bezpośrednio przez siebie tworzonych. Aby biblioteka powiatowa mogła swe zadania spełniać w należyty sposób, musi dysponować dużym księgozbiorem; nie wolno więc przydzielać go na dłuższe okresy czasu bibliotekom gminnym. Dobrze opracowany katalog biblioteki powiatowej, wydany w dużym nakładzie, tak, aby każdy mieszkaniec powiatu mógł go mieć w swoim mieszkaniu, dobrze opracowane wykazy literatury do poszczególnych zagadnień łatwo dostępne dla każdego czytelnika oraz sprawna organizacja sieci łącznikowej pomiędzy czytelnikiem, biblioteką powiatową i gminną pozwoli na najbardziej racjonalne wzajemne uzupełnianie się księgozbiorów powiatowej sieci bibliotecznej.

W okresie niewoli politycznej wydatnie pomogły do zachowania odrębności narodowej biblioteki społeczne. W latach międzywojennych były one tradycyjnie prowadzone głównie przez trzy duże towarzystwa oświatowe (TCL, TSL, PMS) w duchu reakcyjnym i klerykalnym; ich wybitni działacze należeli do bojowych przeciwników ustawy bibliotecznej. Po drugiej wojnie światowej działalność tych instytucji oświatowych w zasadzie nie została wznowiona. Zaobserwowaliśmy jednak ciekawe zjawisko: powszechny pęd różnorodnych organizacji do tworzenia swoich własnych biblioteczek. Wskutek dużej rozbudowy sieci i księgozbiorów bibliotek powszechnych przeznaczonych dla najszerszych mas czytelników, charakter i zasięg tych biblioteczek ścieśnia się jednak do obsługi własnych członków.

A teraz należy jeszcze kilka uwag poświęcić prywatnym wypożyczalniom książek. Są one wyłącznie obliczone na dochód i tak kompletują swe księgozbiory, aby zaspokoić najrozmaitsze, czasem niezbyt wybredne upodobania czytelnicze swoich klientów. Toteż o ile biblioteki powszechne i społeczne na ogół dosyć starannie dobierają swe księgozbiory i unikają niezdrowej sensacji, troszcząc się zarazem o utrzymanie właściwego stosunku pomiędzy literaturą piękną i popularno-naukową, o tyle wypożyczalnie prywatne gonią przede wszystkim za literaturą piękną, sensacyjną, kryminalną, za wszelakiego rodzaju nowościami wydawniczymi.

Czy prywatne wypożyczalnie mają rację bytu przy racjonalnie zorganizowanej sieci bibliotek powszechnych?

Za granicą, gdzie biblioteki powszechne z dawna już zdobyły sobie prawo obywatelstwa i całkowite uznanie, wypożyczalnie prywatne są tolerowane, nie tyle jako placówki pracy oświatowej, ile raczej jako księgozbiory odciążające biblioteki powszechne od sensacyjnej, małowartościowej literatury, poszukiwanej przez różnych snobów. W naszych warunkach wypożyczalnie prywatne okażą się zbędne po całkowitym uregulowaniu stosunków na rynku wydawniczym, co powinno nastąpić w czasie realizacji Planu Narodowego. W racjonalnym planie wydawniczym nie będzie miejsca na bezwartościową literaturę sensacyjną i kryminalną, zatem nie będzie odżywki dla dochodowych wypożyczalni książek.

Rozbudowa księgozbiorów bibliotek powszechnych

Zagadnienie rozbudowy księgozbiorów ma kilka aspektów. Można je rozpatrywać pod kątem stosunku liczby książek do liczby mieszkańców, pod kątem zaopatrzenia w książki ludności miejskiej i wiejskiej itp. Rozbudowa księgozbiorów pozostaje też w ścisłej łączności z bezwzględną i względną wartością książek, utrzymaniem właściwego stosunku liczbowego pomiędzy literaturą piękną i popularno-naukową, beletrystyką dla dorosłych oraz dla dzieci i młodzieży.

Do czego dążymy na odcinku liczbowego zaopatrzenia ludności w książki.

Oto chcemy, aby pod koniec sześcioletniego Planu Narodowego w Polsce jedna książka wypadała przeciętnie na dwu mieszkańców. Wprawdzie daleko jeszcze wówczas pozostaniemy poza Związkiem Radzieckim, w którym już dzisiaj na 1000 mieszkańców wypada ponad 800 książek, niemniej jednak dzieląca nas w tej chwili przepaść zostanie wydatnie zmniejszona. Uwzględniając naturalny przyrost mieszkańców powinniśmy wtedy mieć we wszystkich bibliotekach samorządowych około 14 milionów tomów. Dwa najbliższe etapy na drodze do tego celu, a zarazem punkty kontrolne częściowych wyników to koniec 1948 i 1949 roku. W pierwszym etapie księgozbiory bibliotek powiatowych powinny liczyć ogółem 4 miliony tomów (1 książka na 6 mieszkańców), w drugim etapie — 6 milionów tomów. (1 książka na 4 mieszkańców).

Czy realizacja powyższych zamierzeń jest możliwa?

Odpowiedź na to pytanie będzie zależała od dwu czynników: możliwości produkcyjnych naszego rynku wydawniczego oraz możliwości finansowych.

Wprowadzenie do bibliotek powszechnych w ciągu sześciu lat około 10 milionów książek (trzeba przyjąć, że na skutek naturalnego zniszczenia oraz akcji oczyszczania księgozbiorów wypadnie z nich usunąć około 2 milionów książek) zależne jest nie tylko od możliwości sfinansowania tej akcji, ale zarazem od możliwości produkcyjnych naszego rynku wydawniczego. Przecież rocznie trzeba będzie wprowadzać do bibliotek prawie milion sześćset tysięcy książek, a zasobność rynku wydawniczego zależna jest nie tylko od technicznych możliwości produkcyjnych, ale w większym jeszcze stopniu od bogactwa twórczości literackiej.

Rozważając powyższe zagadnienie trzeba mieć na uwadze jedną rzecz: konieczność różnicowania zakupów odpowiednio do charakteru księgozbioru i jego zadań. W związku z tym inaczej będzie wyglądało kompletowanie księgozbiorów w punktach bibliotecznych, inaczej w bibliotekach gminnych, a jeszcze inaczej w bibliotekach powiatowych i wojewódzkich.

Komitet Upowszechnienia Książki rozpoczynając swą działalność w roku 1948, postawił sobie za cel spowodować wydanie 200 tytułów najbardziej wartościowych książek z zakresu literatury polskiej i obcej w nakładach liczących po 50 tys. egzemplarzy każdy tytuł. Część tych nakładów w liczbie po 20 tys. egzemplarzy ma być przeznaczona dla punktów bibliotecznych, reszta — 30 tys. egzemplarzy ma pójść na rynek księgarski. Gdyby zatem Komitet Upowszechnienia Książki wydał do końca 1955 roku owych 200 projektowanych tytułów, wówczas sprawa zakupienia 4 milionów książek do bibliotek w punktach bibliotecznych byłaby pozytywnie załatwiona. Tego rodzaju załatwienie sprawy wydaje się słuszne i ze wszech miar celowe.

Przejdę teraz do sprawy zaopatrzenia w książki ludności miejskiej i wiejskiej.

Wiadomo powszechnie, że przed wojną jedna książka na wsi wypadała przeciętnie na 33 mieszkańców, w mieście na 4 mieszkańców. Tuż po skończonej drugiej wojnie światowej stosunek ten uległ znacznemu pogorszeniu: zaledwie jedna książka wypadała na 64 mieszkańców wsi na ziemiach dawnych i 260 mieszkańców na Ziemiach Odzyskanych.

A dzisiaj? Dzisiaj po trzech latach planowej pracy w bibliotekach powszechnych blisko 2 miliony tomów wypada na ludność wiejską (jedna książka na 8 mieszkańców!), a w miastach 2 miliony tomów na 8 milionów mieszkańców (jedna książka na 4 mieszkańców). Jaka istotna różnica w stosunku do czasów przedwojennych!!! Dzięki organizacji pełnej sieci bibliotek gminnych i punktów bibliotecznych pod koniec bieżącego roku w bibliotekach obsługujących wieś będziemy mieli prawie trzy i pół miliona tomów, czyli że przeciętnie jedna książka na wsi będzie wypadała na 5 mieszkańców. Jeżeli w dalszym ciągu w tym tempie pójdzie rozwój bibliotek, obsługujących ludność wiejską, to już niedługo wieś będzie lepiej zaopatrzona w książki niż miasto. Jest to sprawa ważna, urasta ona do wagi pierwszorzędnego problemu, będzie też wymagała niedługo już gruntownej analizy i rewizji dotychczasowej linii polityki w zakresie rozbudowy księgozbiorów.

Dobór książek

W związku z intensywnym uzupełnianiem księgozbiorów na czoło różnorodnych zagadnień wysuwa się sprawa racjonalnego doboru książek. Właściwie o doborze książek powinny decydować gminne, powiatowe i wojewódzkie komitety biblioteczne na wniosek kierownika biblioteki. Niestety, większość z nich pracuje jeszcze dość ospale i nie wywiązuje się z zadań, do wykonywania których zostały powołane. Istnieje wprawdzie w Ministerstwie Oświaty Komisja kwalifikująca książki do bibliotek powszechnych, ale działalność jej ogranicza się tylko do ustalania tytułów książek, które zamierza nabyć Ministerstwo Oświaty do bibliotek szkolnych albo powszechnych. Próba opracowania podstawowego katalogu obejmującego jakieś 1000 tytułów dla biblioteki gminnej jak dotychczas spełzła na niczym.

A teraz pytanie: Czy księgozbiory bibliotek powszechnych istotnie wymagają rewizji, czy rzeczywiście mogą one budzić wątpliwości co do swej treści ideologicznej, czy dział literatury pięknej nie jest w nich za bardzo rozbudowany w stosunku do działu literatury popularno-naukowej?

Myślę, że naprawdę księgozbiorom naszych bibliotek powszechnych można by niejedno zarzucić. Nie wolno jednak tego czynić zbyt pochopnie. Trzeba pamiętać o tym, w jakich warunkach były one tworzone. Nie wolno zapominać, że przed czterema laty rynek księgarski był całkowicie zdewastowany, że produkcja w pierwszych latach po wojnie była bezplanowa i chaotyczna. Poza tym należy mieć na uwadze, że masowy odbiorca naszych bibliotek był i jest jeszcze dzisiaj mało przygotowany do samodzielnego czytelnictwa, zwłaszcza rzeczy trudniejszych i to nie tylko popularno-naukowych, ale również i beletrystycznych. Wszystkie powyższe przyczyny złożyły się na to, że księgozbiory bibliotek powszechnych są takie, jakie są. Toteż w czasie realizacji Planu Narodowego trzeba będzie dokonać pewnych, czasem nawet dość daleko idących przesunięć w składzie księgozbiorów przede wszystkim bibliotek powiatowych i bibliotek gmin wiejskich.

Prace będą musiały pójść w kierunku:

a) wydatnego zwiększenia działu popularno-naukowego w stosunku do literatury pięknej;

b) uwzględnienia w dziale popularno-naukowym w stopniu znacznie większym aniżeli dotychczas literatury marksistowskiej i przyrodniczej;

c) usunięcia przestarzałej literatury popularno-naukowej opartej na pseudonaukowych podstawach filozoficznych;

d) usunięcia bezwartościowej społecznie i literacko literatury beletrystycznej.

Szczegółowe instrukcje w powyższych sprawach muszą być opracowane przez centralną komisję doboru książek do bibliotek powszechnych.

Kształcenie bibliotekarzy

Problem kształcenia bibliotekarzy można rozpatrywać zarówno pod kątem przygotowania właściwej liczby bibliotekarzy na odpowiednie stanowiska w bibliotekach jak programu kształcenia. Jakie potrzeby personalne będą miały biblioteki w ciągu realizacji Planu Narodowego?

Nie wdając się w szczegółową analizę sprawy na podstawie dosyć skomplikowanego i równocześnie dosyć pobieżnego obrachunku doszedłem do przekonania, że przy projektowanej a wyżej przedstawionej rozbudowie księgozbiorów bibliotek powszechnych powinien być zatrudniony personel, liczący około 7 tysięcy fachowo przygotowanych bibliotekarzy oraz około 20 tysięcy kierowników punktów bibliotecznych.

Sprawa dokształcania kierowników punktów bibliotecznych wobec problemu kształcenia zawodowych bibliotekarzy, nawet uwzględniając masowość potrzeby, jest mimo wszystko zagadnieniem drugoplanowym i musi być rozwiązana drogą organizacji konferencji, zwoływanych w głównej mierze w skali poszczególnych powiatów przy wydatnej pomocy czynników samorządowych.

Co innego natomiast, gdy chodzi o kształcenie bibliotekarzy zawodowych. Przyjmując, że z liczby 7 tysięcy bibliotekarzy jest już lepiej czy gorzej przeszkolonych około 3 tysięcy — pozostaje około 4 tysięcy osób, z których jeszcze w bieżącym roku trzeba będzie przeszkolić około 1.500 na stanowiska kierowników bibliotek gminnych.

Zatem w okresie realizacji Planu Narodowego trzeba będzie:

a) systematycznie dokształcać około 20 tysięcy kierowników punktów bibliotecznych;

b) systematycznie dokształcać około 4.500 czynnych bibliotekarzy;

c) wyszkolić około 2.500 bibliotekarzy, którzy powinni być zaangażowani w latach od 1950 do 1955 roku.

Oto skala, w jakiej trzeba będzie organizować kształcenie i dokształcanie bibliotekarzy w najbliższych kilku latach. Nie uwzględniamy w naszym rachunku zupełnie potrzeb bibliotek szkolnych i społecznych. Czy wobec tego nasze dotychczasowe poczynania w dziedzinie kształcenia bibliotekarzy nie należy uznać za zupełnie niewystarczające?

Szkolenie bibliotekarzy musi być prowadzone dwiema drogami: bezpośrednio — w zakładach kształcenia oraz na różnorodnych kursach, przeważnie kilkumiesięcznych i korespondencyjnie. Rocznie należałoby szkolić przeciętnie około 400 osób. Tymczasem istniejące w Krakowie Liceum Bibliotekarskie i organizowany obecnie w Jarocinie Ośrodek Kształcenia Bibliotekarzy nie będą w stanie przygotować do zawodu bibliotekarskiego więcej niż 100 osób. Jest to najlepszym dowodem potrzeby szybkiej rozbudowy szkolnictwa bibliotekarskiego. Wydaje się, że już w pierwszych latach realizacji Planu Narodowego trzeba będzie zorganizować co najmniej jeszcze 4 licea bibliotekarskie i drugi Ośrodek Kształcenia Bibliotekarzy. Niemniej ważne zadanie przypadnie w udziale do wykonania kursom korespondencyjnym, które przynajmniej na dwu-trzech poziomach trudności trzeba będzie zorganizować dla kilku tysięcy bibliotekarzy.

Józef Janiczek

Pionierzy polskiego słowa drukowanego

W dniach, gdy wszystkie dzienniki rozbrzmiewają nawoływaniem do upowszechnienia kultury i wyszukiwaniem najskuteczniejszych sposobów, aby rozwinąć czytelnictwo— przypomnieć nie zawadzi, że pierwszymi pionierami, którzy przyczynili się do położenia zrębów czytelnictwa w Polsce byli drukarze, jak zresztą wszędzie, bo dawniejsze czytelnictwo z rękopisów, już ze względu na drożyznę rękopisów nie ogarnęło szerszych mas ludności. Nas jednak interesuje, kim byli ci najbardziej zasłużeni propagatorzy książek. Otóż byli to Polacy, mieszkańcy tej Ziemi Piastowskiej w tak nieudolny sposób, oddanej na łup potomkom hrabiego Gerona. Była ich spora gromadka i co najważniejsza oni w dobie wszechwładnego panowania języka łacińskiego — starają się o tłumaczenie dzieł naukowych na polski, a także drukują własnym kosztem utwory oryginalne polskich autorów.

Jednym z najwybitniejszych był Hieronim Wietor, drukarz zrazu osiadły w Wiedniu, potem na stałe w Krakowie, którego nazwisko rzeczywiste Büttner lub Böttcher (Bednarz) zostało przetłumaczone na łaciński; pochodził on z Lubomierza (Liebenthal) pod Jelenią Górą na Śląsku. Studiował w ostatnich latach XV wieku w Uniwersytecie Jagiellońskim i uzyskał tam stopień bakałarza. Dla chleba udał się zrazu do Wiednia i tam rozpoczął karierę drukarza—wszedłszy w spółkę kolejno z dwoma drukarzami tamtejszymi. W 1510 roku ma swą własną drukarnię. Tu wydaje szereg książek łacińskich treścią związanych z Polską lub napisanych przez Polaków, jak np. podręcznik szkolny Jana Stobniczki: „Parvalus philosophiae naturalis" ozdobiony polskimi herbami i drzeworytem przedstawiającym św Stanisława wskrzeszającego Piotrowina. W roku 1517 już Wietor osiada ostatecznie w Krakowie ze swym warsztatem drukarskim, prowadząc jednak i nadal z pomocą swego brata i syna Floriana wiedeńską drukarnię, odstąpioną jednak ostatniemu w kilkanaście lat potem. Przy ulicy Gołębiej na parceli podarowanej mu przez króla za zasługi przy podniesieniu drukarstwa — wznosi rozszerzoną drukarnię sławną z pięknych druków polskich, które się tam ukazały. Czcionki, którymi drukował były piękne, doskonały papier z własnej papierni i dobre drzeworyty cechowały jego wydawnictwa. Takie były wydane w r. 1521 „Rozmowy Salomona z Marchołtem" i w r. 1522 — „Żywot wszechmocnego Jezu Krysta" upiększone drzeworytami. Drukował on książki węgierskie i naturalnie łacińskie, a nawet greckie.

W propagandowej przemowie do jednej z książek dziwi się, że gdy inne narody swój język przyrodzony miłują i starają się go najpiękniejszym uczynić, jeden naród polski swym „gardzi i brząka". W zakończeniu chwali się, że pierwszy począł drukować polskie książki. w każdym razie to pewne, że drukuje ich sporo. Wietor uważał siebie za Polaka — córki poślubiły Polaków mieszczan krakowskich. Po zgonie jego, wdowa Barbara wyszła za Łukasza Andrysowicza, rodem z Strykowa w Sieradzkim i wraz z nim prowadzi dalej tę drukarnię, która po pewnym czasie zmienia nazwę na „Lazari". Oprócz Wietora na całą Polskę sławne i zasłużone dla piśmiennictwa i kultury polskiej były drukarnie dynastii Scharfenbergerów, bracia: Marek, Maciej i ich synowie również Ślązacy i jak Wietor z tego samego m. Lubomierza. — Marek również uważał się za Polaka, żona jego Agnieszka Żywiecka była rodowitą krakowianką. Z jego warsztatu drukarskiego wychodzi na światło dzienne m. 1. w r. 1543 Mikołaja Reja „Krótka rozprawa między panem, wójtem i plebanem". Jeden z synów jego Stanisław w 1568 drukuje „Nowy Testament", brat zaś ostatniego — Mikołaj w 1570 r. wydrukował „Statuta i przywileje koronne Herburta", a także „Constitucye i przywileje na sejmach wolnych koronnych od roku 1550 — 1569 uchwalone". Po zgonie Macieja Scharfenbergera również zasłużonego drukarza i syna jego Hieronima obejmuje drukarnię Marcin Zybenaicher, ożeniony z wdową po Hieronimie — Elżbietą, również Ślązak z miasta Lubomierza. Otacza się on krajanami, którzy pracują u niego, jako drukarze lub trudnią się kolportażem jego wydawnictw, jak np. Kasper Guttler oraz Jerzy Werner, obaj również Ślązacy z Lubomierza. Wszyscy ci drukarze wydają ogromną ilość książek łacińskich, ale ze szczególną pasją, zapałem i starannością zajmują się drukiem polskich ksiąg lub tłumaczeniem dzieł naukowych na język polski, jak również piętnowaniem lekceważenia ojczystej mowy.

I wśród księgarzy krakowskich widzimy sporo Ślązaków, jak np. Klemenz z Lignicy i Mikołaj Szyknik z Olawy, lub niejaki Szymon Guttles z Lubomierza, zarządzający księgarnią Marka Scharfenbergera. Także Jerzy Majerais zarządca księgarni Mateusza Zybenaichera pochodzi z Lubomierza.

Zasłużył się więc Śląsk odtrącony od Ojczyzny Polskiej także i na polu drukarstwa i księgarstwa, oraz nauczania Polaków, którzy pozostali w niepodległej Ojczyźnie — czytania po polsku i ukochania swej mowy.

Euzebiusz Łopaciński

w dawnej Polsce

Wpływy przekładu „Gulistanu", który wydany był drukiem dopiero w XIX w., ale który krążył już w rękopiśmiennych odpisach, dały się zauważyć i na pewnych poetach z tego okresu; zresztą mogły one przychodzić drogą dalszą poprzez inne literatury, co stanowić by mogło jeszcze dalszy przyczynek do dziejów okrężnych dróg, którymi pewne motywy czy wątki wędrowały wśród rozmaitych literatur.

Inne podłoże niż w XVII w. mamy dla zainteresowań orientalnych w literaturze polskiej w XVIII w. Jest to okres mody orientalizmu, gdyż Orient, tak jego pojęcia kulturalne, jak i literatura spopularyzowane zostały przez literaturę Oświecenia, która w krytyce porządku feudalnego szukała motywów i kontrastów właśnie w literaturze orientalnej. „Listy perskie" były ostrą krytyką ucisku i korupcji schyłkowego feudalizmu. Postaci dobrych kadich, sprawiedliwych wezyrów miały przeciwstawić wschodnie poczucie sprawiedliwości niesprawiedliwościom europejskiej monarchii absolutnej.

Orientalizm dostał się wówczas i do Polski, gdzie jednym z tych „orientalizujących" pisarzy był Ignacy Krasicki. Tym orientalizmem Krasickiego zajmowano się już niejednokrotnie, ale świeżo właśnie poświęcił mu gruntowną rozprawę dr. T. **Mikulski**, omawiając **„Bajki Wschodnie Krasickiego"** (Wrocław 1948, odbitka z Rocznika Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, tom III). Krasicki czerpał w swych bajkach z opowieści wschodnich za pośrednictwem głównie literatury francuskiej, czasem nawet drugorzędnych przekładów czy wydawców; Mikulski stara się odcyfrować kolejno źródło tych opowieści i to tak w czysto orientalizujących utworach, jak w tych, gdzie Krasicki zatarł orientalne akcesoria, kalifa zrobił królem, ominął nazwy wschodnie; tym niemniej zachował się wątek zasadniczy orientalnej opowieści. Tym sposobem zasięg wpływów orientalnych u Krasickiego znacznie się rozszerzył wychodząc poza badane przez Krzyżanowskiego i Turowską-Borową jawnie orientalne utwory.

Aczkolwiek nie przybyłe bezpośrednio ze Wschodu, ale za pośrednictwem rozmaitych literatur zachodnich, przekładów francuskich czy łacińskich, wątki orientalne w bajkach Krasickiego tworzą jeszcze jeden ciekawy przyczynek właśnie do dziejów związków literatury polskiej z literaturami orientalnymi. Zbadanie jeszcze szczegółowsze dróg, którymi przechodziły poszczególne wątki np. zbadanie wpływów bajek Pilpaja, musi być dokonane więc łącznie z podobnymi badaniami nad literaturami innych narodów, gdyż — jak to na wstępie podkreśliliśmy — nie istnieje żadne zjawisko izolowane w dziejach literatury a tematy, wątki, opowieści wschodnie przenikają w tym czasie do literatur wszystkich krajów europejskich. Łączność tych badań wspólnie z badaniami przedsięwziętymi przez orientalistów nad samymi źródłami tych wątków w literaturach orientalnych będzie więc zadaniem dużej miary, które niechybnie przyczyni się do wyświetlenia wielu nieznanych szczegółów i do tym mocniejszego potwierdzenia prawdy o literackiej łączności Zachodu ze Wschodem.

Jan Reychman.

W poprzednim 7 (220) numerze „Odrodzenia": **Jb:** Kongres pokoju trwa. — **Jerzy Borejsza:** Z pamiętnika frontowego: Pewien punkt oporu zdobyty. — **Zbigniew Stolarek:** Miasto na dłoni — **Pierre Daix:** Niewola i upadek powieści amerykańskiej. — **Józef Słotwiński:** Rozmowa z Polą Gojawiczyńską. — Listy z Rzymu: **Julian Stryjkowski:** O stanzach Rafaela. — **William Faulkner:** (przełożył: **Artur Sandauer**): Wash. — Sztuka dla dzieci i młodzieży: **Janina Doroszewska:** W poszukiwaniu właściwej ilustracji dla dzieci. — Film: **Mariusz Margal:** We Francji kryzys filmu trwa. — **Tadeusz Konwicki:** Powstaje film o Chopinie. — **Leon Bukowiecki:** „Renegat", film angielski. — **Anna Z. Linke:** Kraj i kongres: Wystawa darów społeczeństwa dla Kongresu Zjednoczenia w salach Muzeum Narodowego. — Tydzień bibliograficzny. — Kronika francuska: **Zygmunt Kałużyński:** Polska sztuka ludowa w Paryżu; Offenbach sfałszowany — **Artur Marya Swinarski:** „Tu mówi Tajmyr..." Korespondencja: **Samuel Fiszman:** Jeszcze w sprawie „Nieznanego portretu". — **Magdalena Samozwaniec:** Kalamburzyści. —Camera obscura — 23 ilustracje. — 8 stron

ILIA ERENBURG

W OBRONIE KULTURY

W czterdziestolecie twórczości literackiej Ilii Erenburga zamieszczamy jego ostatni artykuł, który ukazał się w styczniowym zeszycie moskiewskiego czasopisma „Bolszewik". Artykuł ten jest znamienny dla tej roli, jaką w przekonaniu Erenburga, jednego z czołowych uczestników Kongresu Wrocławskiego, winni odgrywać przedstawiciele kultury i jaką on sam — znakomity powieściopisarz, poeta, dramaturg-publicysta — odegrał podczas wojny i odgrywa dziś

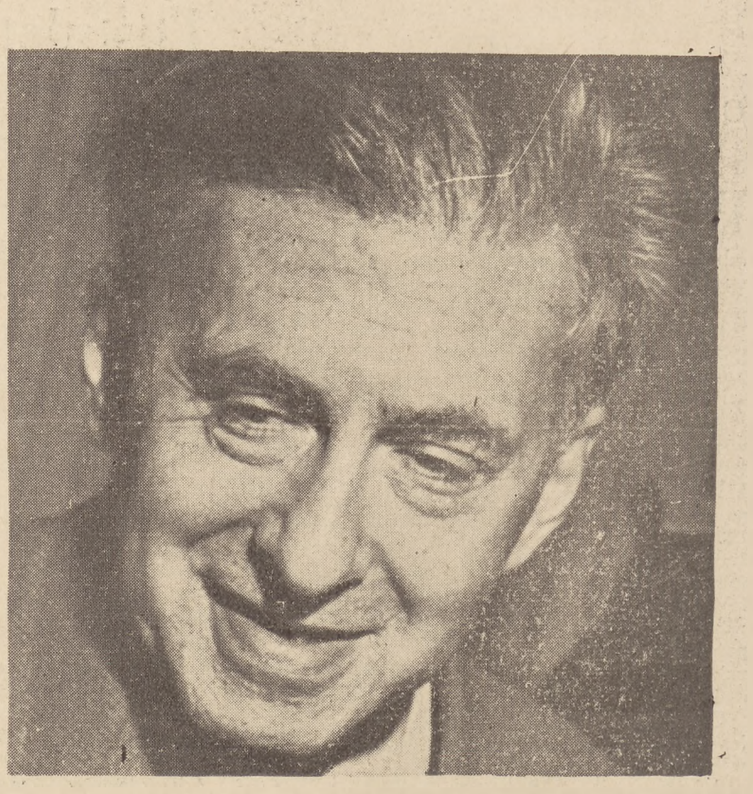

fot. Chamudes

I

Kiedy sto lat temu zabrzmiały słowa Manifestu Komunistycznego, a za nimi salwy powstających robotników paryskich, wielu przedstawicieli nauki i sztuki, na Zachodzie mówiło, że ludzie, którzy nazywają siebie komunistami, zamierzają zniweczyć podstawy ludzkiej cywilizacji.

Rzecz jasna, że i wtedy byli postępowi przedstawiciele kultury, którzy sympatyzowali z dążeniem ludu pracującego do wyzwolenia. Jednakże ogromna większość filozofów i uczonych, artystów i poetów wrogo lub obojętnie ustosunkowała się do pierwszych wysiłków ludzi pracy w kierunku wyzwolenia się spod władzy pieniądza. Ci uczeni i pisarze bynajmniej nie byli zachwyceni światem, w którym żyli; widzieli deprecjację wartości ludzkich, nieokiełznany egoizm klasy panującej, wzrost przeciwieństw; w swych książkach obnażali rany społeczne. Ale nie wiedząc, jak przezwyciężyć antagonizm między potem ludów a cedułami giełdy, nienawidzili ludzi wzywających do rewolucji socjalnej.

Szczególnie ostro rozbrat ten wystąpił w czasach Komuny Paryskiej, kiedy to najwybitniejsi pisarze francuscy, którzy w swych książkach demaskowali burżuazję, pośpieszyli z potępieniem powstających robotników.

Stworzono swego rodzaju kodeks moralny, nakazujący apolityczność nauki. Uczeni, którzy pracami swoimi popierali burżuazyjne społeczeństwo, pocieszali się mitem o pozaklasowej istocie kultury. Oczywiście złudzenia takie łatwiej przychodziły matematykowi czy fizykowi niż powieściopisarzowi; ale i w sztuce była w obiegu legenda o „wieży z kości słoniowej", rzekomo chroniącej poetów przed burzami społecznymi. Trzeba powiedzieć otwarcie, że w wieży tej przesiadywali bynajmniej nie najlepsi przedstawiciele sztuki. Tak zwani „wyklęci poeci" we Francji (z których później wyszli symboliści) męczyli się na widok otaczającej ich nikczemności i prostactwa; w ich wierszach brzmiała zgroza, bezsilny bunt, tęsknota za człowieczeństwem. Nie dostrzegali, skąd może przyjść zbawienie, ale niektórzy z nich przynajmniej instynktownie zwracali się ku siłom rewolucyjnym. Tak było z Baudelaire'em w roku 1848 i z Rimbaudem w czasach Komuny Paryskiej.

Przedstawiciele kierunku literackiego zwanego naturalizmem przypominali lekarzy stawiających diagnozę choroby, ale nie znających środków przeciw niej. Flaubert nie rozumiał idei socjalizmu, co więcej potępiał ją, jednocześnie jednak piętnował klasę panującą. Zola nie wychodził poza mgliste złudzenia liberalne, ale w swoich powieściach uczciwie pokazał zwyrodnienie burżuazji. To samo można powiedzieć o wszystkich wielkich pisarzach i artystach Zachodu. Niektórzy z nich byli czołowymi ludźmi swojej epoki, jak Heine, Daumier, Whitman, Courbet. Szukali oni drogi do świata pracy. Inni, a takich była większość, odżegnywali się od tego, co nazywali „polityką", ale jako prawdziwi artyści zgodnie z prawdą wskazywali, że społeczeństwo, z którym wiązały ich tysiączne nici, skazane jest na zagładę.

Głos Hercena, powieści Tołstoja, „Notatki myśliwego" Turgeniewa, następnie zaś książki Czechowa i Gorkiego, wreszcie głęboko wstrząsające wyobraźnię Zachodu opowiadania o ofiarności rosyjskiej inteligencji rewolucyjnej także potęgowały rozbrat między sztuką a burżuazyjnym „ładem". Można wymienić pisarzy i artystów najrozmaitszych kierunków — Ibsena i Anatola France'a, Maneta i Rodina, Shawa i Hauptmanna — których utwory zdradzają niepokój, oburzenie, niekiedy rozpacz. To nie jest filozoficzny pesymizm, to jest oburzenie na to, co ich otacza i nieumiejętność znalezienia z tego wyjścia. Ich uczciwość, ich sumienie nie pozwala im znaleźć rozstrzygnięcia w szczęśliwych rozwiązaniach Dickensa, który żył w innych czasach, albo zadowolić się tym spokojem, który cechował Corota, artystę ukształtowanego w pierwszej połowie XIX wieku.

Epoka wyklętych, epoka bezwyjściowych poszukiwań i nieziszczalnych nadziei trwała do samej Rewolucji Październikowej. Żaden wielki pisarz czy artysta na Zachodzie nie związał wówczas swego losu z losem klasy robotniczej. Przyczyną była zarówno izolacja artystów jak ciasnota horyzontów wielu partii socjal-demokratycznych, które, uwikłane w grę parlamentarną, wyrzekały się rewolucyjnej walki a korupcji, kłamstwu, przemocy nie przeciwstawiały etyki przyszłego społeczeństwa socjalistycznego. Rzecz jasna, poszczególne dramatyczne epizody walki społecznej, wielkie strajki, masakry demonstracyj, poruszały inteligencję, ale i one odczuwane były raczej jako objawy starczej sklerozy niż jako bóle porodowe.

Kapitalizm budował jeszcze drogi i fabryki, zalewał towarami pięć części świata, ale nie mógł już tworzyć wartości kulturalnych. Lata poprzedzające pierwszą wojnę światową znamionuje tragiczne wyjałowienie burżuazyjnej inteligencji: wysoki kunszt i niezwykle wyrafinowana wrażliwość nie potrafi przesłonić pustki duchowej. W pokoju o korkowych ścianach dusił się Marcel Proust. Zapomniawszy o społecznych dramatach swej młodości, na wpół obłąkany Strindberg miotał się między tekturowymi skałami nietzscheanizmu a pantoflem papieża. Maeterlinck pocieszał się to mistyką, to mistyfikacją. Nawet straszliwe rzezie na polach Szampanii i Polski, nawet hekatomby Verdunu nie otworzyły oczu pisarzom, uczonym, artystom. Trzeba było orzeźwiającej burzy Rewolucji Październikowej, żeby najlepsi przedstawiciele nauki i sztuki Zachodu w nowy sposób spojrzeli na życie i zrozumieli swoją odpowiedzialność historyczną.

II

Wśród pierwszych, którzy na Zachodzie powitali nową erę w dziejach ludzkości, byli dwaj pisarze francuscy, zgoła nie podobni do siebie, ale obaj dobrze znani daleko poza granicami swego kraju: Anatole France i Romain Rolland.

France był mędrcem i epikurejczykiem, świetnym stylistą, człowiekiem niejako symbolizującym wielostronność kultury. Znany był czytelnikom jego lekki uśmiech i głęboki smutek. W wiadomościach nadchodzących z Rosji dostrzegł on przede wszystkim triumf rozumu, światło przenikające długotrwały mrok, w którym wypadło mu przeżyć życie. Przed śmiercią ten olimpijczyk, znany jako niepoprawny sceptyk, z głęboką ufnością powitał poranek człowieczeństwa.

Trudna była droga Rollanda, pisarza żywiołu muzycznego, światłego moralisty i mglistego myśliciela, droga od abstrakcyjnego humanizmu do walki ludu; ale drogę tę odbył. Do tych dwóch nazwisk dodajmy trzecie — namiętnego, nieprzejednanego Henri Barbusse'a, który w idei humanizmu znalazł rozwiązanie dręczących go przeciwieństw.

Anatole France i Romain Rolland należą, o ile idzie o ich twórczość, do epoki poprzedzającej pierwszą wojnę światową. Zaczęła się druga epoka. Trwała dwadzieścia lat, lecz pozostawiła mało wybitnych dzieł sztuki — przeciągnęło się rozwiązanie tragedii dziejowej. Od tworzenia bogactw materialnych kapitalizm przeszedł do niszczenia: zamykano fabryki, bydło zarodowe obracano w nawóz, lokomotywy opalano kawą, w oczach głodnych ludzi naftą kraszono pszenicę. Zachodnio-europejska inteligencja poddana została mechanizacji duchowej. Dadaizm i surrealizm to były naiwne próby przeciwstawienia łobuzerstwa osesków despotyzmowi kapitału, który obracał ludzi w robotów. Małoduszni rzucili się na freudyzm, pragnąc w podświadomości znaleźć ucieczkę przed świadomością. Wszędzie zaostrzała się walka społeczna; teraz nawet krótkowzroczni nie mogli jej nie widzieć. Słowo „sowiety" nie schodziło ze szpalt dzienników. Do pisarzy i artystów Zachodu doszły niektóre osiągnięcia sztuki radzieckiej — wiersze Majakowskiego, różne utwory dramatyczne, filmy „Pancernik Potiomkin", „Matka". W różnych krajach przedstawiciele kultury zaczęli zwracać oczy na Wschód, jedni stanowczo, inni z wahaniem— wśród nich Bernard Shaw, Wells, Upton Sinclair, Henryk Mann i wielu innych.

W Berlinie objęli władzę faszyści i łuna stosów, na których płonęły książki, zabarwiła rumieńcem wstydu starą Europę. Rozległ się głos Maksyma Gorkiego: wzywał mistrzów kultury do zjednoczenia się z milionami prostych ludzi, do obrony wielkich wartości ludzkich. W roku 1935 w Paryżu i w roku 1937 w oblężonym przez faszystów Madrycie obradowały międzynarodowe kongresy poświęcone obronie kultury.

Właśnie w latach brunatnej dżumy określili swoje miejsce Antonio Machado, Louis Aragon, Jean Richard Bloch, Anna Seghers; katolicki pisarz José Bergamin znalazł wspólny język z komunistami. Przypominam sobie dwóch siwowłosych pisarzy w oblężonym Madrycie — Duńczyka Martina Andersena Nexö i Francuza Juliena Bendę. Niedawno widzieliśmy ich znów we Wrocławiu, osiemdziesięcioletnich a młodych duchem. W Hiszpanii walczyli pisarze — Niemiec Ludwik Renn i Anglik Ralph Fox. Hiszpańska tragedia odegrała wielką rolę w przełomie u jednego z najbardziej znanych malarzy Zachodu, Pabla Picassa, który wystąpił przeciw faszystom a następnie przeszedł do komunistów.

W jesieni roku 1939, kiedy reakcja szczuła przeciw komunistom i miotała oszczerstwa na Związek Radziecki, znakomity poeta Ameryki Łacińskiej Pablo Neruda wstąpił do partii komunistycznej. Neruda pisał: „Ogarnia mnie gniew, gdy widzę, jak młody Aztek, Argentyńczyk czy Kubańczyk rozpływa się nad Kafką, Rilkem i Lawrance'em. Beznamiętni młodzieńcy, przedwcześnie postarzali w trosce o „czystą poezję", zapominają o najzwyklejszym obowiązku ludzkim. Nie godzi się w naszych czasach szukać kłosów przeszłości lub wnikać w zakamarki snów; życie i walka ludzi osiągnęły taką wielkość, że tylko w naszej epoce, tylko w naszej walce bije źródło twórczości".

Inwazja faszyzmu wytyczyła linię podziału między twórcami kultury a jej trutniami. Francuscy komuniści mogą być dumni, że w ich szeregach mężnie walczyli najwybitniejsi uczeni naszego wieku, Paul Langevin i Joliot-Curie. W męczeńskim Panteonie bohaterów Czechosłowacji figurują nazwiska świetnych pisarzy Vanczury i Fuczika. W francuskim Ruchu Oporu uczestniczyli poeci Aragon, Paul Eluard, katolicki pisarz Martin Chauffier, powieściopisarz André Chamson i wielu innych. Stary malarz Albert Marquet został komunistą. Bohaterska walka narodu radzieckiego z faszystowskimi najeźdźcami skłoniła najlepszych pisarzy, artystów, malarzy Zachodu do wystąpienia przeciw amerykańskim i brytyjskim kołom rządzącym. Z komunistami idą angielski biolog Haldane i biolog francuski Marcel Prenant.

W roku 1945 znany pisarz amerykański Theodor Dreiser zwrócił się do przewodniczącego Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych Forstera z prośbą o przyjęcie do partii. Dreiser powiedział:

„Wiara w wielkość i godność człowieka była zawsze wytyczną zasadą mojego życia. Logika mojego życia i mojej pracy doprowadziła mnie do partii komunistycznej".

Nie do opisania są rany zadane kulturze europejskiej przez faszystów: zniszczone zabytki przeszłości, spalone muzea i biblioteki, polegli przedstawiciele nauki i sztuki, wreszcie zdziczenie zrodzone w latach pozbawionych oświaty, moralności, szkół. A jednak lata te przyniosły także coś pozytywnego: rozproszyły długotrwały mrok, oddzieliły światło od ciemności; doprowadziwszy ludzi pracy umysłowej do głębokiej rozpaczy, zrodziły w świadomości najlepszych pośród nich nadzieję, której nie zdołają już zniweczyć wszyscy kapłani nocy.

III

Na zwycięstwo nad faszyzmem rzuca cień rozbestwienie sił reakcyjnych, które usiłowały i usiłują wypaczyć, wyjałowić jego sens. Co prawda w krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej reakcja została zdławiona i kultura stała się tam własnością, stała się najżywotniejszą sprawą mas ludowych. Ale we Francji i we Włoszech, gdzie po wyzwoleniu zaznaczył się rozkwit pracy kulturalnej, gdzie w latach 1945 — 1946 ukazywało się wiele książek i czasopism, gdzie odbywały się interesujące wystawy i nakręcano piękne filmy, rychło nastąpiło załamanie się: zaczął się kryzys wydawniczy, Amerykanie zdusili produkcję filmową, reakcja polityczna i społeczna zagraża samemu istnieniu kultury narodowej. W Ameryce obłąkani ze strachu ignoranci wypowiedzieli wojnę wszelkim przejawom wolnej myśli i niezależnej twórczości. Wreszcie propaganda na rzecz trzeciej wojny światowej wytwarza niepokój i niepewność w krajach Zachodu.

Zdawałoby się, że w takich warunkach nie ma miejsca dla neutralnych. A jednak w Ameryce jest jeszcze wielu wybitnych pisarzy, nie mówiąc już o uczonych, których postawa przypomina zachodnio-europejskich inteligentów z początku naszego wieku. Gdy francuski pisarz odwraca się od walki społecznej lub usiłuje mierzyć jedną miarką bohaterstwo wolnych strzelców i zyski kolaboracjonistów, wiemy, że ślepota jego jest udawana, że jego bezstronność jest stronnicza. Inaczej jest w Ameryce... Spróbuję na przykładzie dwóch pisarzy — Amerykanina Williama Faulknera i Francuza J. P. Sartre'a — wykazać różnicę w odpowiedzialności.

Faulkner to pisarz utalentowany i na wpół ślepy, plączący humanizm z rasizmem, pisarz, który zachwyca się rzekomym romantyzmem niewolniczego Południa i na tym samym podłożu wpada w głęboką rozpacz. Całe życie spędził on w małym miasteczku najbardziej niekulturalnego i najbardziej okrutnego spośród 48 stanów. Wielkie wydarzenia naszego wieku przeszły obok niego. Faulkner opisuje duszny, czarny świat, opisuje piekło swojego Południa i piekło swojego serca. Można go winić o to, że jest tylko Faulknerem, że znalazłszy się w więzieniu nie zaczął wyłamywać krat, tylko drobiazgowo wystudiował pleśń na murach, nawyki dozorców, przeżycia więźniów. Dla mnie jednak Faulkner nie jest oskarżonym, tylko świadkiem oskarżenia w tym historycznym procesie, w którym nowy świat sądzi świat egoizmu, kłamstwa i nienawiści. Książki Faulknera ukazują nie tylko jak postępują plantatorzy w Missisipi ze swoimi czarnymi niewolnikami, ale jak postępuje współczesna Ameryka ze swoimi białymi pisarzami. Nie moda literacka, lecz środowisko, w którym żyje, podyktowało Faulknerowi rozpacz. Jego pesymizm jest uczciwszy od półurzędowego, półzwierzęcego optymizmu tych literatów amerykańskich, którzy z uśmiechem jakby skopiowanym z reklamowego ogłoszenia pasty do zębów, kłaniają się Bogu — Dolarowi.

Sartre'a nie wolno traktować, tak jak Faulknera. Żywiołowy i spostrzegawczy, choć ślepy, niezmiernie wrażliwy Faulkner wydaje mi się pisarzem daleko większym, niż cięty rezoner salonowy Sartre. Ale nietylko o to chodzi. Istotne jest jeszcze to, że Francja to nie Stany Zjednoczone. Pierwszy lepszy robotnik paryski, gdyby się znalazł w Oxfordzie (stan Missisipi), gdzie nie wyjeżdżając nigdy, mieszka Faulkner, poczułby się zepchnięty w otchłań głębokiego średniowiecza. Sartre przeżył wspaniałą epopeę francuskiego Ruchu Oporu. Ta okoliczność nie zmniejsza jego winy, lecz zwiększa ją. Sartre zapewniał niejednokrotnie, że nie chce iść ani z komunistami ani z antykomunistami, ani z Ameryką ani ze Związkiem Radzieckim. Proponował utworzenie „trzeciej siły" w dziedzinie ducha, tak jak w dziedzinie polityki proponowali to pp. Ramadier i Moch.

Jednakże istnieje pewien nieuchronny związek łączący postępki i wydarzenia. W roku 1946 Sartre zaczął atakować komunistów, rzekomo „ograniczających swobodę pisarza". W dwa lata później członkowie osławionej „Komisji do badania działalności antyamerykańskiej" oklaskiwali w Nowym Jorku jego sztukę „Brudne ręce" (taki tytuł nosi ostatni utwór Sartre'a), trywialny paszkwil. Wszystko w tej sztuce jest nieprawdziwe i nieprawdopodobne. Zdaniem Sartre'a komuniści prowadzili w podziemiu taki sam tryb życia, jak jego zwykli bohaterowie, goście przyliterackich knajp, dusiciele kotów i zwolennicy ekscentrycznych form miłości. Komuniści w tej sztuce wzajemnie się zabijają. Komunista siedzi w faszystowskim obozie koncentracyjnym, a towarzysze chcąc go uśmiercić, posyłają mu czekoladę z likierem i trucizną. Ładny obóz koncentracyjny, ładni komuniści, a już niezrównana jest ta czekolada z likierem w Europie południowo-wschodniej roku 1943!...

Sztuka ta została napisana i wystawiona w chwili, gdy we Francji reakcyjny rząd zaczął bezwzględnie prześladować komunistów. Sartre lubi mówić o wolności „wyboru". Można sobie wyobrazić, jak to w chwili, gdy żandarmi p. Mocha masakrują górników, ktoś z boku strzela do strajkujących i wypowiada głęboką myśl: „Proszę nie mieszać tych rzeczy — oni strzelają, bo im kazano, ja strzelam, bo mam „wolny" wybór". Za zgodą Sartre'a Amerykanie zmienili tytuł sztuki. W Nowym Jorku tytuł jej brzmi „Czerwone rękawiczki". Oszczercy zza Atlantyku nie mogą się obejść bez epitetu „czerwony". Możliwe, że Sartre zmieni tytuł także we Francji — w domu powieszonego nie mówi się o stryczku, a nie opłaci się chyba autorowi paszkwilu cynicznego wspominać o czystych rękach...

Zatrzymałem się na przykładzie Sartre'a, żeby podkreślić, jak konieczno jest dla każdego pisarza zachodnio-europejskiego określenie swego miejsca. Sądzę, że ci spośród nich, którzy w roku 1949 mówią o swej wspólności ze sprawą prostych ludzi, w niczym nie są podobni do niektórych, znanych z „gościnnych występów" w latach dwudziestych i trzydziestych. Motylki nie potrafią fruwać wśród kul p. Mocha, a łamańce André Gide'a nie dadzą się powtórzyć w naszych twardych czasach. „Figaro Littéraire", w którym współpracują pisarze broniący ponoć „neutralności" sztuki, daleko więcej miejsca poświęca pamiętnikom hitlerowskich generałów i oszczerczym informacjom o kraju Rad, niż problemom francuskiej literatury. Tak więc pogrobowcy „czystej sztuki" nie ukrywają swego oblicza politycznego. Niedawno jeden z nich, Maurice Clavel, oświadczył: „Bronię prawa pisarzy i artystów do politycznej neutralności, sceptycyzmu, obojętności, nawet tchórzostwa". Powiedziane to było nie w „wieży z kości słoniowej", lecz na zebraniu partii politycznej, tzw. „Skupienia Narodu Francuskiego", na czele którego stoi gen. de Gaulle. No cóż, neutralność, sceptycyzm, obojętność, nawet tchórzostwo pisarzy i artystów w pełni dogadza ludziom, którzy chcą nałożyć kaganiec narodowi czterech rewolucji.

Stanowiska zostały określone. Ci pisarze francuscy, którzy teraz wychwalają Amerykę, wszelkimi sposobami wybielają swoich kolegów, skompromitowanych wychwalaniem niemieckich najeźdźców—Montherlano, Giono, nawet przestępcę wojennego Céline'a. Imperialiści wiedzą, na kogo mogą liczyć. Wyznam, że nie ma im czego zazdrościć; przy nich stoją ludzie, którzy kiedyś byli artystami, ale dawno już wymienili swój talent na wykwintne igraszki, na głupstewka, na imitację sztuki. Twórczość nie da się pogodzić z odejściem w ustronie, a pisarz, który zapominając o swym obowiązku, zaczyna dogadzać zasobnym w mocną walutę protektorom, staje się bezpłodny.

Gęsta mgła zalega jeszcze Amerykę. Wiem, że ani Howard Fast, ani Maltz nie zgubią drogi. Lecz myślę w tej chwili o wielkich mistrzach, którzy dotąd błądzą, to dostrzegają skraj lasu, to znów zanurzają w gęstwinę, przechodząc z piekła, pokrewnego piekłu Faulknera, do przelotnego słowa nadziei, i niezwłocznie wracając do piekła. Mówiąc to, mam na myśli Hemingwaya, Steinbecka, Caldwella. Bacznie obserwuję ich drogę twórczą, krętą i jakże często zagadkową. Wiem, że nieraz gubili nie tylko drogę, ale samych siebie. A jednak widzę, jak sumienie tych artystów ratuje ich przed akceptowaniem tej Ameryki, która pragnie teraz pochłonąć świat. Pisarzom tym zarzuca się zazwyczaj pesymizm. Rzeczoznawca „Komisji do badania działalności antyamerykańskiej", pani Rogers oświadczyła, że utwór artystyczny, który zawiera „rozpacz i beznadziejność", oznacza „niebezpieczeństwo komunizmu". Oczywiście książkom Hemingwaya i Faulknera, Steinbecka i Caldwella bardzo daleko do komunizmu. Ale rozumiem oburzenie pani Rogers: książka uczciwego artysty, ukazującego okropny byt, okrucieństwo, impas, stanowi akt oskarżenia przeciwko współczesnej Ameryce.

Niechże mgła nie przesłoni nam tego, co najważniejsze: w roku 1939 uczeni, pisarze, artyści Zachodu stali jeszcze na rozdrożu — dziś prawie wszyscy obrali sobie miejsce. Toczy się zacięta walka między życiem a śmiercią. Myśl nie może pozostać neutralna, sumienie — obojętne.

Niedawno jedną z najpoważniejszych nagród literackich we Francji przyznano młodemu autorowi, Pierre Frissonowi. Pisarz ten uchodził za całkowicie „pewnego". Nikt nie podejrzewał go o sympatie dla „rozkładowych" idei. Reporter jak najbardziej lojalnego dziennika „Figaro" zwrócił się do laureata z prośbą o powiedzenie czegoś miłego czytelnikom rzeczonego organu. Pierre Frisson odpowiedział: „W świecie panuje niepokój. O, naturalnie obserwowałem w Ameryce zewnętrzną lekkość życia — tam owija się niepokój w lśniący celofan, ale od tego nic się nie zmienia". Niepokój, o którym mówi Pierre Frisson, wywołany jest strachem, jaki budzi w klasie panującej bieg czasu.

Próbom zatrzymania historii lub zawrócenia jej wstecz towarzyszy zawsze prześladowanie wolnej myśli, ujarzmienie nauki i sztuki. Dość przypomnieć, jak to inkwizycja rozprawiała się z uczonymi, jak gnębiła myślicieli i poetów, a humanistyczne tendencje swoich czasów ogłosiła jako herezję.

20 stycznia br. prezydent Stanów Zjednoczonych wygłosił długie przemówienie poświęcone wychwalaniu ustroju burżuazyjnego, (nazwanego oczywiście „demokracją") i potępieniu komunizmu. Nie poprzestając na zagadnieniach przemysłu i handlu, prezydent zajął się też nauką i sztuką, oświadczając, że w „demokratycznej Ameryce" korzystają one z nieograniczonej wolności. Mogłoby to ubawić ludzi stęsknionych za zdrowym humorem Marka Twaina, gdyby czasy pozwalały na beztroski uśmiech.

Nie będę mówił o obłudzie, związanej zawsze z pojęciem twórczości w świecie, w którym króluje pieniądz, nie będę mówił o kupionej i przekupionej prasie w Stanach Zjednoczonych, o trustach filmowych, o zależności wydawnictw od instytucji finansowych. Są to rzeczy powszechnie znane. Ale nawet burżuazyjne społeczeństwo rzadko kiedy znało taki gwałt, zadawany myśli i twórczości, jaki dziś widzimy w Ameryce. Oto protokóły „Komisji do badania działalności antyamerykańskiej": aktorów filmowych, reżyserów i scenarzystów oskarżono o to, że przedstawili Murzyna jako porządnego człowieka, że potępiali hitleryzm i antysemityzm, że ośmielili się pokazać „bankiera-złoczyńcę". Znaliśmy dotąd dogmat o nieomylności papieża, amerykańscy congressmani sformułowali nowy dogmat — o nieomylności bankierów.

Znakomity pisarz niemiecki Tomasz Mann, który dawno przyjął obywatelstwo USA, człowiek pozostający poza wszelkim podejrzeniem o sympatie dla komunizmu, pisał w związku z prześladowaniem komunistów: „Ignoranckie i zabobonne prześladowanie zwolenników doktryny politycznej i ekonomicznej, która jest ostatecznie dziełem wielkich umysłów i wielkich myślicieli, nie tylko świadczy o upadku samych prześladowców, ale wyrządza ogromną szkodę reputacji kulturalnej tego kraju".

Wyznam, że słowa Tomasza Manna wydają mi się bardziej przekonywające niż entuzjastyczne zapewnienia prezydenta USA o swobodzie twórczości, panującej w jego kraju. Trudno podtrzymywać reputację kulturalną Ameryki po wyroku na Howarda Fasta, po sądzie nad komunistami, po naprawdę antyamerykańskiej działalności J. Parnella Thomasa, Mundta i

(Dokończenie na stronie siódmej)

fot. Slawny

Jarosław Iwaszkiewicz przemawia na zebraniu sprawozdawczym Kongresu 25 listopada 1948 r.

• KSIĄŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI •

„BIBLIOTEKA POWIESCI I ROMANSOW“

„Biblioteka Romansów i Powieści“ w wydaniu „Czytelnika“ spełnia rolę szczególną w układzie planu całego wydawnictwa.

Pamiętamy sprzed wojny tanie, groszowe wydawnictwa brukowych i sensacyjnych powieści, których zadaniem było wydrzeć ostatnią złotówkę, żądnej niezdrowych sensacyj młodzieży i tym warstwom czytelniczym, które niedojrzały jeszcze do poważniejszych zainteresowań artystycznych. Pałmy sklepowe z wypiskami na twarzy, wczytujące się w te groszowe romanse, młodzież szkolna, podkładająca sobie pod podręczniki szkolne sensacyjne powieścidła — to byli czytelnicy wydawnictw, które, żerując na niedoświadczeniu literackim i palącej zarazem potrzebie lektury, zgarniały sute zyski.

Książka, która powinna być środkiem szerzenia oświaty i kultury, stawała się jeszcze jedną dawką trucizny obok alkoholu, tytoniu, amerykańskich sensacyjnych filmów, lunaparków — tego wszystkiego, co miało wypaczać świadomość społeczną, odurzać wizją przepychu, błogostanu i możliwości zdobycia drogą przypadku i niemoralnych kombinacyj wielkiej kariery.

Seria „Biblioteki Romansów i Powieści“ „Czytelnika“, jako instytucji społecznej ma — rzecz jasna — inne zadania.

Biblioteka zawiera szereg fundamentalnych dzieł literackich zarówno współczesnych, jak takich, które wytrzymały próbę czasu i do dzisiejszego dnia są podstawową pozycją w budowaniu świadomości kulturalnej każdego człowieka.

W celowych i umiejętnie dokonanych skrótach „Biblioteka Romansów i Powieści“ umożliwia czytelnikowi zetknięcie się z wybranymi dziełami literatury zarówno swojej jak i obcej, dając mu możność poznania choć w ułamkach, najbardziej zresztą charakterystycznych dzieł, które mogłyby go w pierwszym etapie zbliżenia zrazić niekiedy swymi rozmiarami lub ciężkim chwilami stylem.

Za możliwie najniżej w naszych warunkach skalkulowaną cenę (50 zł. za książkę) uzyskuje czytelnik bezpośrednią łączność z arcydziełami literatury polskiej i światowej.

Nasze walki powstańcze, prowadzone w różnych epokach i okolicznościach, znajdują tu odpowiednik literacki w świetnej i barwnej opowieści T. T. Jeża („Narzeczona Harambaszy“), przedstawiającego w niej dzieje walk wyzwoleńczych, toczonych przez Serbów przeciw Turkom w końcu w. XVIII (współcześnie niemal z powstaniem Kościuszkowskim).

Przeżycia z czasów okupacji hitlerowskiej znajdują pewną, choć jakże idylliczną paralele historyczną, w nigdy niezapomnianych nowelach G. Maupassanta („Baryłeczka i inne opowiadania“), przedstawiającego stosunki we Francji w czasie wojny francusko-pruskiej z r. 1870.

Życie w „Kraju Wschodzącego Słońca“ (Chin) nie od strony zafałszowanej barwności, lecz nędzy, upośledzenia i krzywdy społecznej przedstawia czytelnikowi W. Sieroszewski w kilku wybranych nowelach.

Powieść historyczną najpopularniejszego opowiadacza naszego sprzed stulecia J. I. Kraszewskiego, reprezentuje „Pamiętnik Mroczka“ — żałosne dzieje ubogiego szlachetki. Środowisko warszawskie, warunki pracy i wyzysk w końcu w. XIX przedstawia W. Gąsiorowski w swoim „Pigularzu“.

Znakomici pisarze europejscy, którzy uczyli wnikać w duszę ludzką, jak K. Dickens, W. Hugo i A. Czechow — dają się poznać współczesnemu czytelnikowi polskiemu w swoich najbardziej charakterystycznych pozycjach (wybór z Czechowa nie jest wprawdzie może najlepszy).

Świetna powieść współczesna amerykańskiego pisarza A. Maltza („Te trzy dni“), daje obraz walki robotników amerykańskich z wyzyskiem kapitalistycznym oraz stosunków panujących w świecie plutokracji.

Współczesną powieść polską reprezentują P. Gojawiczyńska i Putrament, opisy i relacje — K. Pruszyński, Cz. J. Centkiewicz i B. Dąbrowski.

Całość dotychczasowego cyklu (obejmującego już dwadzieścia pozycji) daje więc czytelnikowi rzeczywistą możność uzupełnienia swego wykształcenia, stworzenia podstaw swojej kultury literackiej.

J. S.

ARTUR MARYA SWINARSKI

Otwarcie Ludowego Teatru Muzycznego

Ludowy Teatr Muzyczny w Warszawie. **Jan Nepomucen Kamiński:** „Skalmierzanki, czyli Jaśniepańskie zaloty“, komedio - opera w trzech aktach. Muzyka: **E. Buschne.** Inscenizacja i reżyseria: **Janusz Strachocki.** Układy taneczne: **Feliks Parnell.** Kierownictwo muzyczne: **Sylwester Czesnowski.**

Umówmy się, że owej „Nitouche“ z ulicy Polnej w ogóle nie było; że się nam przyśniła, (bo mogła się przyśnić!) — i że Ludowy Teatr Muzyczny rozpoczął swoją działalność dopiero teraz przy ulicy Szwedzkiej „Skalmierzankami“.

Potrzebny jest także teatr, w którym podaje się dania lekkostrawne, w którym można spędzić parę godzin bez poważnych problematów — bo każdy człowiek ma prawo od czasu do czasu spędzić parę godzin bez problematów. Oczywiście nie musi się w takim teatrze pokazywać „Hrabiny Marycy“, „Księżniczki czardasza“ albo „Królowej nocy“... chociaż bez hrabiny nie obyło się nawet w „Skalmierzankach“; przypadła jej w udziale nawet najcięższa robota, najtrudniejsza partia, prawdziwa partia operowa.

Ale najlepszą partią ta hrabina widocznie nie jest, skoro jej amant, dziedzic Żurosław, dopiero w trzecim akcie decyduje się na małżeństwo. Wpierw zapada ciężko na **chłopkomanię** i pragnie ożenić się z córką prostego chłopa. Jednakże król Staś uważa, że nie na tym polega **jus primae noctis**, i mówi: **„veto!...“** Co prawda po kilku godzinach odwołuje zakaz, ale tymczasem wszystkie Skalmierzanki, które wyraziły ochotę poparadowania sobie w dworskiej karecie, powróciły ze skruchą do swoich Pieprzyków i hasło: „z polską szlachtą polski lud“ zostało odroczone do czasów Młodej Polski, Tetmajera i „Wesela“... Wszystko kończy się łagodnie. Lud nie woła: „chleba! chleba! chleba!“, nie śpiewa pieśni rewolucyjnych, nie bije Żurosława i krwawych godów nie urządza tylko dlatego, że sztuki nie reżyserował Leon Schiller!

Tyle raptem jest treści w tej komedio - operze. Naiwnej, wiotkiej i płyciutkiej — ale bardzo wesołej, kolorowej, melodyjnej i tańcami przetykanej gęsto. Śpiewanie w „Skalmierzankach“ nawet nie łatwe, bo między jeden wiersz piosenki a drugi pakuje kompozytor zwykle parę taktów muzyki bez śpiewu i biedny aktor nie wie, co w tej przerwie ze sobą zrobić. Mówiąc ściśle: nie wiedziałby, gdyby nie **Janusz Strachocki**, który hojnie sypnął pomysłami i rozruszał narzuconą przez kompozytora statykę. Radykalnie zerwał z szablonem reżyserskim, który od kilkudziesięciu lat krępował „Skalmierzanki“, odświeżył je i dodał im nowych rumieńców. (Ponadto, czego już robić nie musiał, dodał im wątpliwe problemy, ale tylko w artykule, drukowanym w programach teatralnych). By już zostać w rodzinie, powiedzmy to od razu tutaj: piękne i pomysłowe dekoracje i kostiumy **Andrzeja Strachockiego** dowodzą, że jabłko spadło nie daleko od jabłoni.

Zobaczyliśmy nareszcie **Feliksa Chmurkowskiego** (Sarmacki), który długo ukrywał się w Teatrze Polskim, a teraz trzeba pojechać aż na Pragę, by go zobaczyć, ale warto jechać. Swoją drogą, nie rozumiem, co bardzo dramatyczny aktor Chmurkowski ma do roboty w teatrze wodewilowym, — chyba to samo, co bardzo dramatyczny aktor Zygmunt Chmielewski...

Jan Mroziński (Sapibrzuch) jak zwykle tak i tutaj daje komizm bez łatwizny i przesady; jest to rzetelny komik, który nie płacze ze zmartwienia, gdy przydarzy się, że nie dostanie brawa przy otwartej kurtynie. Także **Stanisław Iwański**, nie ułatwił sobie sprawy i nie przeszarżował swego Żurosława. W ogóle, brak nachalnej karykaturalności (prawie u wszystkich) jest jedną z przyjemnych cech przedstawienia.

Trudną partię Wandy wykonała **Maria Namysłowska** bez zarzutu. Na czele Skalmierzanek grała, śpiewała i tańczyła **Krystyna Karkowska** (Dosia), na czele ich kawalerów **Mieczysław Bagiński** (Maciek).

Doskonałym nabytkiem Ludowego Teatru Muzycznego jest **Joachim Lamża** (Pieprzyk), bo to i amant i humorysta, i muzykalny, i tancerz zdolny. Szczególnie w akcie trzecim, jako arcyśmieszny „Pieprzycki na Wielkich Pieprzach“, doprowadza widownię do spazmów. Przed wojną skarżono się na brak amantów, a teraz jest nagle urodzaj na nich jak w samym Skalmierzu.

P. S. — Grypa szaleje w Warszawie i nawiedza po kolei wszystkie teatry. W „Skalmierzankach“, gdzie się wciąż pary ściskają i całują, bakterie mają ułatwioną robotę. Życzymy tedy pracowitemu zespołowi Teatru Ludowego, który zadebiutował tak pięknie, by czym prędzej powrócił do zdrowia — wtedy wszystko pójdzie jeszcze raz tak składnie.

Artur Marya Swinarski

W obronie kultury

(Dokończenie ze strony 1)

innych obskurantów. Przypominam sobie, że w stanie Tennessee pod karą więzienia zakazano wykładać teorii ewolucji i darwinizmu. Przypominam sobie, że w południowych stanach nie do pomyślenia jest ukazanie się książki lub artykułu, gdzieby Murzyn był przedstawiony jako pełnowartościowy człowiek. Przypominam sobie, z jaką goryczą Albert Einstein i młodzi uczeni-fizycy opowiadali mi o bezceremonialnym wykorzystywaniu ich prac przez rozpasanych miłośników wojny. Przypominam sobie wreszcie książkę „Hollywood pod sądem“ i powtarzam słowa przeczytane w tej książce: „Roosevelt chciał zaprowadzić wolność od strachu a teraz Amerykanie ujrzeli strach przed wolnością“.

Jest rzeczą zupełnie naturalną, że państwa zachodnio - europejskie, pozostające w bezpośredniej zależności od Waszyngtonu, także zaczynają stosować represje wobec artystów, próbują ograniczyć wolność myśli. Tak np. pan Moch, ten Noske w tanim wydaniu powojennym, zabronił niedawno pokazu filmu z reprodukcjami rysunków Daumiera. Władze francuskie pod różnymi pozorami pociągnęły do odpowiedzialności sądowej poetę Aragona i malarza Fougerona. Bardzo możliwe, że są to dopiero pierwiosnki i że p. Moch, kiedy wyuczy się roboty u złodzieja Thomasa i „bezinteresownych“ sędziów waszyngtońskich, sprezentuje Francuzom róże z ostatnich zbiorów amerykańskich.

Najbardziej drastyczny przykład prześladowania pisarza — ale też triumfu pisarza — dała nam niewielka republika południowo-amerykańska, Chile. Ta niewielka republika dała światu wielkiego poetę: Pabla Nerudę. Na rozkaz z Waszyngtonu prezydent Chile, Gonzalez Videla, typowy renegat, zarządził prześladowanie komunistów. Senator Pablo Neruda został wezwany przed sąd. Wtedy wstąpił na trybunę senatu i zamiast bronić się, wygłosił ważką mowę oskarżycielską zarówno przeciw prezydentowi Chile, jak przeciw jego waszyngtońskim mocodawcom — po czym uszedł w podziemie. Napisał tam szereg świetnych poematów datowanych „gdzieś w Ameryce“. Taki jest dziś adres poety. Poematy Nerudy wychodzą nielegalnie w Ameryce i są tłumaczone na wszystkie języki europejskie. Louis Aragon pięknie powiedział o stylu tego prześladowanego poety:

Wygnaniec — a widać go wszędzie,
Zaszczuty — a świata chorąży:
I gniewne Nerudy orędzie
Wichrem po ziemi krąży.

Zaciekłość prześladowań zdradza bezsilny strach. Ginący świat nie może już sobie pozwolić na dawny zbytek: dziwaków na poddaszach i „wyklętych poetów“ w piwnicach. Wprawdzie na uroczystych ceremoniach, jak to miało miejsce 20 stycznia, jego przedstawiciele powtarzają jeszcze słowo „wolność“, ale wymawiając to słowo, z nabożnym lękiem zerkają na szeregi policjantów. Uczeni, pisarze, artyści mają dziś jedno wyjście: przychodząc do milionów prostych ludzi, muszą pogrzebać umarlaków, izolować niepoczytalnych szaleńców, obronić książkę, drzewo, dziecko.

Kongres pracowników kultury, który obradował zeszłym latem w polskim mieście Wrocławiu, dowiódł, że najlepsi przedstawiciele naszej epoki, nie poprzestając na głębokich westchnieniach i mglistych marzeniach, postanowili walczyć o pokój, o wolność, o godność ludzką. Myśl przeszła od obrony do natarcia.

Przybyli do Wrocławia uczeni: Joliot-Curie, Haldane, Prenant, psycholog Wallon, pisarze: Andersen Nexö, Benda, Eluard, Vailland, Vercors, Bontempelli, Tuwim, Nałkowska, Stojanow, Vittorino, Amadoux, Varela, Iwaszkiewicz, Anna Seghers, Amorim, malarze: Picasso, Leger, Guttuso. Delegacja radziecka z Fadiejewem na czele należała do najliczniejszych. Kongresowi nadesłali pozdrowienia ci, którzy z takiej czy innej przyczyny nie mogli przybyć: Albert Einstein, pisarze: Steinbeck, Caldwell, Aragon, Priestley, architekt Corbusier, malarz Matisse.

Swego czasu prasa poświęciła wiele miejsca zatargom i zakulisowym intrygom wywołanym na Kongresie przez ambasady dwóch wielkich mocarstw. Amerykańscy i angielscy dyplomaci, przybywszy do Wrocławia nie w charakterze uczestników Kongresu, uczynili wszystko, żeby udaremnić jego pracę. To się im nie udało — na czterystu delegatów poszło za nimi trzynastu, przy czym większość „rozłamowców“ stanowili albo pomniejsi snobi albo urzędnicy.

Kongres podkreślił jedność komunistów z wszystkimi postępowymi umysłami epoki. Niechętni nam lubią demaskować „ciasnotę“ i „sekciarstwo“, a faktycznie sami bezwzględnie prześladują każdy przejaw sympatii dla komunizmu. Tymczasem we Wrocławiu wespół z komunistami pracował profesor uniwersytetu katolickiego ks. Boulier, dziekan katedry Canderburyjskiej, Johnson, liberalni pisarze Vercors i Bedel essayista Benda, który w niejednym rozchodzi się z komunistami, oraz wielu innych.

Idea Frontu Ludowego zrodzona przed piętnastu laty w Europie Zachodniej, żyje, ale po ciężkich doświadczeniach okupacji faszystowskiej i Ruchu Oporu znalazła nowy wyraz. Front Ludowy w latach trzydziestych był często kombinacją parlamentarną, koalicją przywódców różnych stronnictw, chwilowym sojuszem odważnych z małodusznymi, żołnierzy z dezerterami. Front Ludowy w naszych czasach to zjednoczenie ludzi pragnących obronić pokój i wolność — zjednoczenie z natury rzeczy powstające wokół tych, którzy w dniach próby okazali się mężni i nieprzejednani.

We Wrocławiu uczestniczyliśmy w świetnej demonstracji naszej epoki: pracownicy kultury tak zwanych narodów kolonialnych wystąpili z ciężkimi oskarżeniami pod adresem ciemięzców, namiętnie oklaskiwani przez przedstawicieli czterdziestu pięciu krajów. Poeta martynicki Aimé Césaire wygłosił świetne przemówienie, wykazując, jak wysoką kulturę umysłową mają narody, którymi anglosasi chcą się „opiekować“.

Ogromna jest rola Związku Radzieckiego w ocaleniu i kontynuowaniu ogólno-ludzkiej kultury. Gdy w krajach kapitalistycznych myśl jest deptana, a twórczość gaśnie, uczeni i pisarze radzieccy, chroniąc szczytne tradycje przeszłości, wierni solidarności międzynarodowej, tworzą wielkie wartości kulturalne. Samo istnienie naszego państwa, jego potęga, jego rozwój duchowy wspiera pracowników kultury całego świata w ich walce z okrucieństwem i ignorancją epigonów imperializmu.

Nie sądzę, żeby treść i forma utworów artystycznych w różnych krajach mogły być w naszych czasach jednakowe. Treść zmienia się zależnie od warunków społecznych, a formę, jak wiadomo, dyktuje treść. Tematyka patosu pracy w Polsce czy w Bułgarii będzie wyrażała radość budowy nowego społeczeństwa — ten sam temat w Detroit może zabrzmieć jak kazanie Forda. Pisarze burzący obłudną moralność francuskiej burżuazji spełniają swój obowiązek. Są to przede wszystkim uczciwi artyści, którzy nie mogą stosować środków artystycznych, odpowiednich dla afirmacji. Stąd „pstrokacizna“ estetyczna pisarzy i artystów Zachodu, którzy związali swój los z wielką ideą komunizmu. Nie może być identyczna tematyka i forma u pisarzy i artystów w Polsce, gdzie demokracja ludowa rozpoczęła przebudowę społeczną, we Francji, gdzie walka klas gwałtownie się zaostrzyła, i w Oxfordzie w stanie Missisipi. Ale wszystko, co żywe, co się rozwija, sprzyja triumfowi komunizmu.

Uczeni, którzy pragną rzeczywistego triumfu rozumu, którzy czują odrazę do przesądów dyktujących ustawy, do oligarchii, nielicznym tylko dającej dostęp do wiedzy, odwracają się od ludzi dolara, od rasistów i jezuitów. Pisarze i artyści, widząc, że skarłowacenie człowieka w społeczeństwie burżuazyjnym prowadzi do skarłowacenia sztuki, stają się zwolennikami sztuki, stają się zwolennikami nowego ustroju społecznego. Prawdziwi inteligenci oburzeni na widok przygotowań do nowej, potwornej, krwawej wojny, która oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo dla ludzkości, przygważdżają nowych pretendentów do panowania nad światem. Zrozumieli, że imperialiści nie tylko nie zrezygnowali z ucisku ujarzmionych narodów, ale zaślepieni chciwością usiłują dziś obrócić w swoje kolonie kraje prastarej kultury, jak Francja i Włochy. Toteż dla ludzi intelektu walka z anglosaskimi drapieżnikami staje się walką o istnienie kultury narodowej.

Oto dlaczego echa Kongresu Wrocławskiego dotarły do świadomości wszystkich pracowników kultury. Rozmaite zjazdy krajowe, zgromadzenia i demonstracje świadczą, że rezolucja uchwalona w polskim mieście przez przedstawicieli czterdziestu pięciu krajów, to początek wielkiej ofensywy postępowej inteligencji, w walce o pokój, o kulturę narodową, o prawdziwie ludowy charakter nauki i sztuki.

„Jakie to dziwne, że ze mną jest tylko Vallès“ — powiedział Courbet na jednym z posiedzeń Komuny Paryskiej. Wiele zmieniło się od tego czasu. Sztandar, który kilka miesięcy powiewał nad jednym miastem, dziś wznosi się nad wielkim, przodującym w świecie krajem. Pod tym sztandarem wzmaga się walka narodów o wyzwolenie. Pracownicy kultury nie idą dziś z kontynuatorami krwawego dzieła wersalczyków. I myśląc o naszych sprzymierzeńcach w tej ciężkiej walce prowadzonej przez nas o szczęście ludzkości, wiemy: rozum jest z nami.

Ilia Erenburg

WYDAWNICTWO
ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
WROCŁAW, PLAC SOLNY 13

OSTATNIE NOWOŚCI

BIBLIOTEKA NARODOWA
N. 129 S. I
FR. D. KNIAŹNIN
WYBÓR POEZJI
OPRACOWAŁ W. BOROWY
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
Str. 189 Cena zł 240—

STEFAN INGLOT
HISTORIA SPOŁECZNA I GOSPODARCZA ŚREDNIOWIECZA
Wyd. drugie rozszerzone
Stron 384
Cena zł 360.—

WYBÓR PISARZY LUDOWYCH
Opracował STANISŁAW PIGOŃ
Część II
POECI I GAWĘDZIARZE
Stron 320
Cena zł 610.—

ST. JODŁOWSKI I W. TASZYCKI
SŁOWNICZEK ORTOGRAFICZNY Z ZASADAMI PISOWNI
Dla niższych klas szkoły podstawowej
Wyd. trzecie
Stron 191
Cena zł 150 —

ŚLĄSK
PODRÓŻ MALOWNICZA W 21 PIEŚNIACH
Wyśpiewał B. Z. STĘCZYŃSKI
Stron XXXV + 212
Rycin 31

MIECZYSŁAW OPAŁEK
DRZEWORYT W CZASOPISMACH POLSKICH XX STULECIA
Stron 112
Rycin 20

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

FILOZOFIA

Piotr Kropotkin. Etyka. Pochodzenie i rozwój moralności. Przekład z oryginału rosyjskiego. Łódź, Spółdzielnia Wydawnicza „Słowo“, 1949; str. 320 i 4 nl.

HISTORIA

Mikołaj Jerzy Górszczyk (Poleszczuk). Szkice emigracyjne. Rumunia, Iran, Palestyna, Egipt. Warszawa, „Chłopski Świat“, 1948; str. 129 i 3 nl.

LITERATURA

Biblioteka Romansów i Powieści. Nr. 24. **Jorge Amado.** Kakao. Przekład **M Hołyńskiej** i **E. Grudy.** Warszawa, „Czytelnik“, 1949; str. 63 i 1 nl.

Wiktor Gomulicki. Miecz i łokieć. Powieść mieszczańska z pierwszych lat wieku XVII. Opracował **Juliusz W Gomulicki.** Tom I i II. Wydanie trzecie. Warszawa, „Ex Libris“, 1948; t. I, str. 243 i 1 nl, t. II, str. 216 i 2 nl.

J. H. Rosny. Kot olbrzymi (Tygrys Kzamów). Powieść z czasów pierwotnych. Warszawa, „Chłopski Świat“, 1948; str. 180 i 4 nl.

POLITYKA

Biblioteka Klasyków Marksizmu. **J. Stalin.** Marksizm a kwestia narodowo - kolonialna. Zbiór artykułów i przemówień. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 391 i 5 nl.

Proces Krakowski. Niepokólczycki, Mierzwa i inni przed sądem Rzeczypospolitej. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1948; str. 389 i 3 nl.

W przededniu procesu przeciwko przywódcom Partii Komunistycznej USA. **J. Sawicki.** Dwie miary. **L. Lernell.** Prawo i sąd w rydwanie imperializmu amerykańskiego. Warszawa, 1949, odbitka z 1 nr „Demokratycznego Przeglądu Prawniczego“; str. 27 i 1 nl.

EKONOMIKA

Stanisław Gryziewicz. Środki polityki gospodarczej. Paryż, Instytut Literacki, 1949; str. 209 i 3 nl.

SPROSTOWANIE

W 7 (220) numerze „Odrodzenia“ w notce o Faulknerze, poprzedzającej opowiadanie tego autora pt. „Wash“ wypadły dwa wiersze. Odnośny ustęp winien brzmieć „...krzyk — po raz ostatni chyba rozlegający się w naszym znajdującym się już na znacznie dalszym stadium rozwoju świecie — warstwy feudalnej, ulegającej naciskowi kapitalizmu Jankesów, który porównany z tym tak bardzo przebrzmiałym przeciwnikiem, odzyskuje w noweli swoje — utracone, gdzie indziej — znaczenie postępowe. wszystko to stwarza ową niepowtarzalną atmosferę powieści Faulknera...“

Eryk Lipiński — plakat filmowy

Eryk Lipiński — plakat nagrodzony na konkursie

Eryk Lipiński — plakat dla teatru „Syrena"

GRAFIKA

TROCHĘ O PLAKACIE

Ukazujące się stale nowe plakaty dowodzą zawsze od kilkunastu niemal lat, faktu istnienia w Polsce dość specyficznego stanu rzeczy, jeśli chodzi o naszą grafikę. Zastanowić bowiem musi wyraźnie nierówny poziom nie tylko plakatu, ale i okładki czy ilustracji; ta wielka różnica daje się zauważyć w każdej dziedzinie życia, w której mają coś do powiedzenia graficy. Jest to może dość dziwne, ale jesteśmy chyba jedynym krajem, gdzie na tablicy ogłoszeniowej obok świetnego plakatu o wysokim poziomie, wiszą straszliwe pseudoplakaty, których twórcy starają się koniecznie przekonać widza o swej kompletnej nieznajomości elementarnych zasad tej gałęzi sztuki graficznej, swej nieumiejętności rysunku i już zupełnej ignorancji, jeśli chodzi o liternictwo. To samo dzieje się w witrynach księgarń, a już chyba najgorzej przedstawia się sytuacja na polu książki dziecięcej. Pisano niedawno w „Odrodzeniu" o znęcaniu się nad językiem w książkach dla dzieci; straszni wydawcy i autorzy nie zapominają przy tym także o znęcaniu się nad okiem i smakiem estetycznym dziecka. A jest to przecież dziedzina, w której grafika polska poszczycić się może naprawdę pięknymi osiągnięciami. I właśnie ten brak dobrego, średniego poziomu, ta wyrwa między kiczem a kilkoma wybitnymi indywidualnościami, reprezentującymi najwyższą klasę jest najbardziej charakterystyczna dla naszej grafiki. Już na przykład w Czechosłowacji zauważyć można zasadniczą zmianę: Czesi posiadają nie tylko świetne plakaty, które mogą pokazać na całym świecie, nieomal każdy ich przeciętny, bez specjalnych ambicji, plakat czy okładka książkowa jest po prostu dobra. Czy chodzi o zwykłą fotograficzną kompozycję, czy prostą obwolutę ze składem czcionkowym, wszędzie znać rękę inteligentnego, znającego swój fach rzemieślnika, jeśli już nie artysty.

Gdzie należy szukać przyczyny istniejącego u nas stanu rzeczy? Wydaje mi się, że oprócz braku kadr fachowców winę ponoszą także kierownicy działów propagandy instytucji i wydawnictw, zamawiający plakat czy okładkę. Niezdawanie sobie sprawy z siły oddziaływania tego środka masowej propagandy, źle pojęte względy oszczędnościowe i niezrozumienie intencji artystycznej plastyka sprawiają, że powierzają oni często pracę ludziom nie mającym z prawdziwą grafiką nic wspólnego. Stąd obok plakatów filmowych Henryka Tomaszewskiego mogą ukazywać się takie nonsensy, jak plakat do filmu „Jej pierwszy bal". Lęk przed syntezą formy i metaforą treści nowoczesnego plakatu, przy dzisiejszym otrzaskaniu się nawet przeciętnego widza z różnymi formami sztuki współczesnej, jest już chyba nieuzasadniony.

Z powyższego wynika, że tym baczniejszą uwagę zwrócić należy na ukazujące się dobre plakaty, do których z pewnością należą prace Eryka Lipińskiego i Wojciecha Zamecznika. Eryk Lipiński posiada już ustaloną pozycję na Parnasie grafiki, ale nowe prace Wojciecha Zamecznika, z którego nazwiskiem spotykać zaczęliśmy się dopiero od niedawna, również godne są dużego zainteresowania. Ten bardzo interesujący grafik i architekt już w pierwszych plakatach zdecydowanie wytyczył sobie drogę szukania nowej, indywidualnej formy i wyrazu plastycznego, korzystając w znacznej mierze z doświadczeń sztuki abstrakcyjnej. Śmiałość kompozycji łączy on w swych pracach z umiarem kolorystycznym i wyczuciem formy architekta. Zaskakujące pomysły i ciekawe efekty graficzno-dekoracyjne, które wprowadza Zamecznik, pozwalają na określenie jego pozycji w naszej grafice, jako co najmniej dobrej i rokującej duże nadzieje.

O naprawdę pięknych plakatach Eryka Lipińskiego nie potrzeba chyba wiele pisać. W swych ostatnich mocnych kolorystycznie pracach osiągnął on zamierzoną i trafną syntezę metafory treściowej i prostotę rysunku, nadającą jego nieprzeładowanym plakatom specyficzny wdzięk.

Jan Lenica

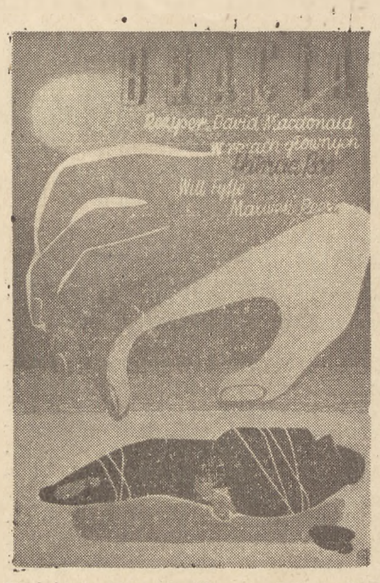

Wojciech Zamecznik — plakat filmowy

Wojciech Zamecznik — plakat filmowy

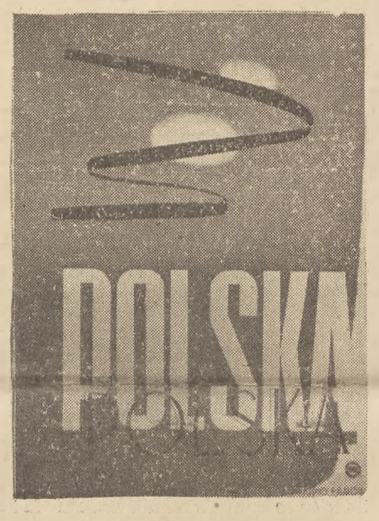

Wojciech Zamecznik — plakat filmowy

VILLON W DRZEWORYTACH MARII HISZPANSKIEJ

Cykl drzeworytów, którymi Maria Hiszpańska zilustrowała „Wielki testament" Villona jest zjawiskiem niestety odosobnionym w ostatnich latach, należy mu się przeto już z tego względu specjalne omówienie, a spółdzielni „Wiedza" uznanie za inicjatywę zastosowania szlachetnej techniki graficznej do ilustracji książkowej.

Twórczość Hiszpańskiej rozwijająca się równolegle w zakresie technik metalowych i drzeworytu obejmuje już kilka zespołów ilustracji — cykl drzeworytów do „Janosika" Dobrowolskiego, rysunki do „Króla Artura", „Pieśni o Rolandzie", inicjały do „Kwiatków świętego Franciszka". Drzeworyty villonowskie podejmują niektóre motywy formalne poprzednich cyklów; jeden z nich wiąże się z „Janosikiem", inne operują skrótowymi elementami dekoracyjnymi, zapożyczonymi z romańskiego malarstwa miniaturowego, które stanowiły dominantę „Króla Artura" i „Kwiatków".

Drzeworyty do Villona nie mają jednolitego charakteru: trzy duże, całostronicowe plansze oparte są o pozaperspektywiczną kompozycję płaszczyzny piętrzącą sceny wiązane fotomontażowo; inne są winietami o motywach zazwyczaj figuralnych. Ich styl ksylograficzny nawiązuje do linearnego drzeworytu renesansowego. Duże bogactwo fakturowe, jakie znamy z ostatnich rycin Hiszpańskiej, rozgrywanie drzeworytu w wielu skalach równocześnie— cechy te redukują się w ilustracjach „Testamentu" do repertuaru skromniejszego, czasem ograniczonego jedynie do linii. Jest to drzeworyt „czarny na białym" zbliżający się nieledwie do fascimilowego powtarzania rysunku tuszem. Nie jest tak wszędzie; niektóre rycinki dopuszczają udział większych plam czerni czy też demonstrują jakieś rozgrywki walorów i faktur. Na ogół drzeworyty utrzymane są w tonacji średniej szarości, doskonale odpowiadając jasności zadrukowanej strony; Hiszpańska jest tu wierna raczej zasadom grafiki rosyjskiej, reprezentowanej u nas przez Chrostowskiego, niż wywodzącej się ze szkoły Skoczylasa koncepcji drzeworytu budowanego jasną linią na czarnym tle, stanowiącego ciemną, intensywną plamę.

Wśród ilustracji Hiszpańskiej wyróżniają się jednolitością kompozycji dwie ryciny przedstawiające Paryż, czerpiące natchnienie z XV-wiecznych miniatur francuskich,

zwarte bardzo zamknięte, sztywne nieco w prymitywizujących formach drzeworytniczej kaligrafii.

Cykl ten jest akompaniamentem plastycznym poetyckich utworów François Villona, należy więc wziąć pod uwagę jego ilustratorski charakter. Jak dalece ryciny Hiszpańskiej adekwatne są dla złożonego zjawiska, jakim była twórczość poety — „włóczęgi, bandyty, sutenera i złodzieja"? Poezja Villona odosobniona w swym lirycznym i indywidualnym charakterze na tle współczesnej mu i późniejszej literatury francuskiej była jednak skondensowanym wyrazem stulecia, którego cechą jest dziś dla nas jego „âpre saveur de la vie" — ostry smak życia. Ten ostry smak posiadają „lais" i ballady paryskiego zawadiaki — „licencjata sztuk". Miłość i śmierć, gwałt, zbrodnia i rozkosz, cierpka ironia i gorzki hedonizm są sokami, z których fermentują wiersze bujne i gorące.

Smak ten posiadają też niektóre ryciny Hiszpańskiej. Motywy ich to kobieta, dzban wina, bójka, serenada. Rylec opowiada o zwądach, pijatykach, miłostkach. Formy realnych elementów komponujących na ogół wiernie zapożyczone są z plastycznych przekazów XV wieku.

Ale pamiętajmy, że ów „âpre saveur" Villona to tylko jedna, zewnętrzna warstwa. Pod nią leży głęboki grunt filozoficznej mądrości, melancholii i rezygnacji, czułego nieledwie przeżycia świata, życia i śmierci w kategoriach pozaczasowej wagi. Hedonizm zewnętrzny to tylko wyraz kapitulacji wobec poznanej niepowtarzalności istnienia.

Temu drugiemu obliczu Villona czynią zadość chyba dwa tylko drzeworyty. Większy piętrzy jedne nad drugimi: „wieś" — drzewa, kąpiące się w stawie kaczki, wieśniaków pracujących na roli i „miasto", ogromne, zwieńczone katedrą, z boku pozostawiając samotnego w swej budce „króla". Drugi, mniejszy to epitafium poety, najlepsza niechybnie rycina cyklu, oszczędna, syntetyczna, przeciwstawiająca w sposób zdecydowany czarną, trafnie prowadzoną kreskę, białe pola nią ograniczone i partie „śrutowej", kropkowanej faktury. Krępa, nieco zawadiacko w kontrapoście ustawiona figurka Villona o ciekawej twarzy, wielkich, ocienionych brwiami oczach łączy w sobie lekkomyślną chwiejność kukiełkowej postaci z mądrą i szlachetną prawdziwością głowy i spojrzenia. Ten drzeworyt uważać można za plastyczną syntezę „Testamentu" Villona. Jest to obraz człowieka, który umie odróżnić sprawy przemijające od spraw prawdziwie trwałych i daje wyraz temu w słowach:

„Iam grzesznik, złego jadem struty,
Jednak Bóg nie chce mey katuszy.
. . . . . .
Toć, ieśli weźrzy w me sumienie,
Snadno z występku mnie rozwiąże
Y ześle na mnie przebaczenie".

Jan Białostocki

JÓZEF PRUTKOWSKI

GŁOS W DYSKUSJI O POEZJI MŁODYCH

**Okropnie pióro mnie świerzbi
I muza satyry mnie szczypie
Gdy widzę gruszczyński na wierzbie
Albo rćżewicz na lipie.
Bratne soneta i dramy
Kubiak w kubiak te same.**

**Trzydziestoletni milusińscy nasi
Zapamiętajcie przed skokiem na piedestał:
Rimbaud miał lat dziewiętnaście
Kiedy już pisać przestał.**

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI

O satyrze

**Satyra raz odważnie światu powiedziana
goni już wiecznie cel jak magnetyczna igła.
Jakbyś nią kręcić chciał, busola niedościgła,
wskazuje drwiąco palcem zawsze już tyrana.**

O medycynie

**„Na ręce splamione, doktorze,
jaka medycyna?"
„Tu jedno tylko pomoże:
wazelina, wazelina, wazelina!"**

KORESPONDENCJA

Więc kto — „Smutny szatan", czy „demoralizator?"

Do Redaktora „Odrodzenia"

W tym samym dniu, w którym kupiłem nr 6 (219) „Odrodzenia" i przeczytałem artykuł W. Rogowicza: „To był pogrzeb na koszt Państwa" — otrzymałem jako premię Klubu Literackiego „Odrodzenia" T. Żeleńskiego (Boya) egzemplarz „Mędrca okiem"... W utworze „Smutny szatan", poświęconym St. Przybyszewskiego, Boy wspominając jego pogrzeb, pisze:

„Opowiadał mi jeden z uczestników pogrzebu Przybyszewskiego następującą scenę. Dygnitarz państwowy, wysłany przez zwierzchność, aby wygłosił mowę na pogrzebie, odgadawszy z widocznym przymusem zdawkowe frazesy, zeszedł z mównicy i szepnął do kogoś z obecnych: „Pogrzeb pogrzebem, ale co tu gadać — to był demoralizator i tyle". Nie wiedział szanowny dygnitarz, że w tej chwili właśnie wygłosił prawdziwą mowę pogrzebową, że położył palec na istocie czynu Przybyszewskiego, na tym, za co właśnie — też nie bardzo wiedząc o tym — składano mu wieńce. Demoralizator! Weźmy rzecz filologicznie: jeżeli słowo „moralizator" jest w literaturze pojęciem najbardziej okrzyczanym, w takim razie przeciwieństwo jego — de-moralizator — musi być pojęciem zaszczytnym. Coś tak jak *infekcja i dezynfekcja, maskować i demaskować*". (Podkreślenia tamże).

Niechże ten urywek będzie polemiką zza grobu Boya z autorem artykułu. W. Rogowiczem, który na wstępie tak charakteryzuje w nim St. Przybyszewskiego:

„Zjechały się delegacje organizacji społecznych i oświatowych, gdyż były arcykapłan „nagiej duszy", który tyle zamętu sprowadził do mózgów swego pokolenia w początkach stulecia, w ostatnim okresie życia rehabilitował swą szkodliwą działalność społeczną gorliwą pracą obywatelską w dziedzinie szkolnictwa na Pomorzu i w Gdańsku. Ze względu na te zasługi chowano głośnego i poza krajem polskiego pisarza na koszt państwa".

A więc dwie sprzeczne opinie. Boy określił działalność St. Przybyszewskiego jako społecznie pożyteczną, a W. Rogowicz mówi dziś o jego szkodliwej działalności i rehabilitacji. Czyż wobec tego, nie jest dziś jeszcze w stosunku do St. Przybyszewskiego aktualne zakończenie wymienionego już „Smutnego szatana":

„I u nas trzeba by wydobyć jego prawdziwą twarz spod nalotów. Twarz smutnego szatana, twarz udręczonego bez miary człowieka, twarz wielkiego poety".

Bogdan Duczmal

Od redakcji: Niewątpliwie istnieje potrzeba historycznego wyjaśnienia ideologii twórczej i estetyki Stanisława Przybyszewskiego i całej „przybyszewszczyzny" jako głównego w swoim czasie nurtu „Młodej Polski" — tej polskiej odmiany schyłkowości na przełomie XIX i XX wieku. W każdym razie sprawa nie zamyka się w kryteriach moralnych.

CAMERA OBSCURA

W zeszłym 7 (220) numerze „Odrodzenia" pod reprodukcją obrazu Orłowskiego w cytacie z „Pana Tadeusza" z naszej winy Orłowski, który — jak wiadomo — życie strawił w Peterburku musiał je trawić w Petersburgu.

Ponieważ poprawiliśmy Mickiewicza, „elementarne" poczucie taktu nie pozwala nam przynajmniej w tym tygodniu na wytykanie błędów innym.

CAMERA OBSCURA

»SKALMIERZANKI«

J. Mroziński, K. Karkowska, S. Iwański

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-66870 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"